XVI—4 KWIECIEŃ 1938

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

MIESIĘCZNIK

CNOTA KARDYNALNA MĘSTWA

JEJ ISTOTNE CECHY, NIEDOMAGANIA I WYCHOWANIE.

Grupa cnoty kardynalnej męstwa obejmuje te wszystkie moralne sprawności naszych władz psychicznych, których wspólną cechą jest pewna moc i wytrzymałość wobec trudności, towarzyszących złu, którego pragniemy uniknąć, lub dobru, które pragniemy zdobyć. Zaliczamy więc do niej te wszystkie cnoty, które nas popychają niejako do czynu i wewnętrznie powstrzymują od cofania się przed trudnościami i niebezpieczeństwami życia z nim związanymi.

W grupie tej pierwsze miejsce zajmuje sama cnota męstwa, która daje nam wewnętrzną sprawność opanowania bojaźni wobec grożącego nam zła. Ponieważ zaś najsilniej na nas działa to wszystko, co zagraża naszemu życiu, lub co jest związane dla nas z jakimś bólem lub cierpieniem,

przeto cała ta dziedzina w szczególny sposób potrzebuje wzmocnienia ducha i ono to właśnie jest zadaniem męstwa.

Męstwo ma więc sprawić, że w naszym postępowaniu moralnym nie damy się powstrzymać obawą lub strachem od spełnienia w każdej chwili naszego obowiązku. Kierownikiem jego jest, ma się rozumieć, rozum i wola, ujęte w karby roztropności, która, jest tym specjalnym usprawnieniem naszych władz duchowych do kierowania życiem moralnym. Ale właściwym siedliskiem samego męstwa jest zmysłowa siła popędliwa przejawiająca się w szeregu uczuć jak strach, odwaga, otucha, zniechęcenie, gniew i inne bardziej złożone. Wrodzona ta siła naszej natury, działająca sama przez się odruchowo, nieraz nawet żywiołowo i bez wewnętrznego umiaru, musi być ujęta przez nasz rozum w pewne karby tak, żeby móc celowo służyć moralnym zadaniom życia. Z początku nakazy rozumu i impulsy woli spotykają się w dziedzinie zmysłowej z pewnym oporem czy też bezwładem: władze zmysłowe działają samorzutnie, nie rachując się zupełnie z żądaniami rozumu. W miarę jednak jak wykonywują one czyny nakazane przez władze duchowe, wyrabiają się powoli w tym kierunku, nabierają stałych sprawności do ulegania ich impulsom i coraz regularniej są w stanie współpracować z rozumem i wolą. Wtedy dopiero męstwo jest naprawdę ugruntowane w duszy człowieka i staje się składowym czynnikiem jego charakteru.

Uczuciami, do których męstwo najbardziej bezpośrednio się odnosi są odwaga i strach lub obawa: między nimi bowiem trzeba zaprowadzić równowagę tak, iżby siła popędliwa ani nie rzucała się na oślep na niebezpieczeństwa, wtedy gdy nie zachodzi żadna po temu potrzeba, ani też aby nie cofała się przed nimi, tam gdzie rozum uzna, że trzeba się na nie narazić. Druga ta funkcja jest ważniejsza od pierwszej i ma w sobie więcej tego charakteru pobudzania i podtrzymywania, który jest specyficzną cechą całej grupy męstwa. Pomimo tego jednak i samo miarkowanie ataku na zło przez odwagę należy też do dziedziny męstwa, które ma za zadanie zaprowadzić umiar w działalności siły popędliwej wobec zła i związanych z nim trudności i niebezpieczeństw. Męstwo winno nadać odwadze cechę czynności rozumnej, umiejącej z należytym umiarem dostosować naszą siłę zmysłową do zamierzonego celu.

Właściwością całej grupy męstwa jest to, że umiar bliższy tam jest do nadmiaru niż do niedomiaru, czyli że w cnotach tej grupy lepiej jest nieco przesadzić niż niedociągnąć: stąd i wady grzeszące niedostatkiem, jak tchórzostwo i małoduszność gorsze są niż te które grzeszą zbytkiem, jak zuchwalstwo lub zarozumiałość i ambicja i próżność. W dziedzinie cnoty kardynalnej umiarkowania jest wprost przeciwnie, tam umiar winien się przechylać raczej do niedomiaru, i wady grzeszące niedomiarem są i rzadsze i mniej złe, niż te, które grzeszą nadmiarem.

Najwyższą próbą męstwa są te wypadki, w których życie człowieka jest narażone na niebezpieczeństwo. Życie jest podstawą wszystkich dóbr doczesnych, a jednak nie jest największym dobrem ludzkim, i mogą się zdarzyć wypadki, że trzeba je poświęcić dla wyższych celów, czy to Bożych czy nawet ludzkich. Toteż jak w dziedzinie nadprzyrodzonej męczeństwo za wiarę jest uważane za najwyższy dowód zarówno męstwa chrześcijańskiego jak i miłości Boga, która je powoduje, — sam Zbawiciel nas tego uczy (Jan 15, 13), — tak i w dziedzinie przyrodzonej śmierć za ojczyznę lub jakąś inną wspólną ludzką sprawę jest najwyższym dowodem zarówno męstwa jak i miłości ojczyzny i miłości bliźniego. Naturalnie, że i te czyny przyrodzone mogą być podniesione do poziomu nadprzyrodzonego, gdy zostaną miłością natchnione: wtedy cała działalność społeczna nabiera wartości nadprzyrodzonej, a śmierć poniesiona dla celów wspólnych może nieraz mieć wartość bardzo zbliżoną do męczeństwa.

Ma się rozumieć, że męstwo nie tylko w tym swoim najwyższym akcie się przejawia, ale że winno ono kierować naszymi krokami we wszystkich okolicznościach, kiedy obawa przed niebezpieczeństwem może nas powstrzymać od wypełnienia obowiązku, albo kiedy odwaga gotowa nas popchnąć dalej niż potrzeba. Te skromniejsze i na mniejszą miarę czyny męstwa są ogromnej doniosłości dla wyrobienia i utrwalenia samej cnoty: kto o nie nie dba ten i na większe się

nie zdobędzie i, gdy przyjdzie na nie sposobność, napewno zawiedzie. Męstwa nie zaczyna się praktykować od męczeństwa albo od śmierci za ojczyznę!

Oprócz niebezpieczeństw związanych z utratą życia lub zdrowia, albo też grożących nam jakimś bólem lub cierpieniem, innego rodzaju niebezpieczeństwa, dotyczące sławy, stanowiska, majątku itp. mogą też nieraz zażądać od cnoty męstwa interwencji i podtrzymania ducha. Męstwo rozciąga się bowiem na wszystkie sytuacje życiowe, w których obawa przed jakimś złem może nas powstrzymać od uczynków, do których jesteśmy obowiązani, albo popchnąć do takich, które są niedozwolone. Niebezpieczeństwa grożące naszemu życiu silniej działają na nasz organizm zmysłowy i są przez to bardziej widoczne, strach jednak, który wywołują nie jest koniecznie najsilniejszy: niebezpieczeństwa dziedziny duchowej nieraz o wiele bardziej paraliżują wolę, pociągając ją do uczynków, które sumienie potępia. Obawa tego rodzaju przybiera nieraz postać fałszywego wstydu i sprawia, że niejeden, który w niebezpieczeństwie życia dał wszelkie dowody męstwa, w życiu cywilnym postępuje jak jaki tchórz, nie mogąc się zdobyć na odwagę swoich przekonań. Od męstwa musimy więc wymagać, aby podtrzymywało nasze postępowanie nie tylko tam, gdzie życiu naszemu zagraża niebezpieczeństwo, ale i tam, gdzie duch jest narażony na niebezpieczeństwo nikczemności i upodlenia. Jest to bardzo uderzające w obyczaju po-

jedynkowania się, gdzie odwaga wobec niebezpieczeństwa kalectwa albo śmierci odgrywa mniejszą rolę niż się mniema. Tam gdzie do pojedynku nie popycha nienawiść i pragnienie zemsty, tam decydującym czynnikiem jest najprostsze tchórzostwo wobec terroru obyczaju. Jak często się zdarza, że aby odmówić pojedynku, potrzeba więcej odwagi cywilnej niż aby go przyjąć.

Z powyżej powiedzianego łatwo teraz wysnuć jakie są wady i zboczenia w dziedzinie męstwa. Pierwszą z nich, która najbardziej bezpośrednio sprzeciwia się męstwu jest skłonność do poddawania się bojaźni, którą, gdy przejdzie w stałe usposobienie nazywamy nieśmiałością, bojaźliwością lub tchórzostwem. Pierwszy termin oznacza raczej pewną wrodzoną skłonność, która może być opanowana przez rozum i wolę i która nie przedstawia się jeszcze jako coś moralnie złego. Bojaźliwość jest już czymś gorszym i oznacza stałe usposobienie, w którym wyższe władze duchowe zaczynają już świadomie ulegać impulsom strachu i obawy. Wreszcie przez tchórzostwo rozumiemy to samo usposobienie bardziej już jednak ugruntowane i całkowicie paraliżujące działalność rozumu i woli, kiedykolwiek wypadnie zająć zdecydowane stanowisko wobec niebezpieczeństwa tego lub innego rodzaju.

Powyższe braki męstwa są bardziej znane, gdyż bardziej rzucają się w oczy: zapomina się natomiast często o tym, że można przeciw męstwu wykraczać i w inny sposób, mianowicie nadmiarem t. zn. nie zachowaniem miary w odwadze. Mę-

stwo jak każda cnota musi mieć wewnętrzny umiar, a skoro go nie posiada paczy się i wyradza w wadę. Takim zwyrodnieniem męstwa jest zuchwalstwo, które polega na nierozumnym i bezcelowym narażaniu się na niebezpieczeństwa. Jak są w życiu wypadki, w których nie wolno się przed niebezpieczeństwem cofać, tak są i takie w których nie wolno się na nie narażać, czy to dla tego, że przekracza ono niewspółmiernie nasze siły, tak iż nie ma najmniejszej nadziei, aby mogło być zwalczone, czy też dlatego, że w danej sytuacji narażanie się na podobne niebezpieczeństwo nie ma żadnego celu. Motywem, który w podobnych wypadkach popycha ludzi do rzucania się w wir niebezpieczeństw jest zwykle chęć popisania się odwagą, którą ludzie bardzo cenią: ale popisywanie się odwagą nie należy do zadań i celów męstwa, lecz przeciwnie, zanieczyszcza je i deprawuje tylko próżnością. Niejednemu, który się przyzwyczai produkować na pokaz swoje męstwo, może go łatwo zabraknąć w najważniejszej chwili, gdy zabraknie mu widzów, którzy by oklaskiem podtrzymywali jego odwagę. Schiller doskonale napiętnował w swej „Rękawiczce“ to lekkomyślne bawienie się odwagą ludzką dla wypróbowania ich męstwa.

Wychowanie męstwa nie przedstawia w teorii specjalnych trudności. W praktyce bardzo ważnym jest rachować się z przyrodzonym podłożem dziecka i jego wrodzonymi skłonnościami, które w dziedzinie męstwa mogą być dość różne i wymagać przeto różnorodnego potraktowania.

Jedne dzieci będą raczej bojaźliwego usposobienia i na te trzeba będzie pewien nacisk wywierać, aby się nauczyły opanowywać w sobie uczucie strachu: inne przeciwnie, z usposobienia próżne, lekkomyślne i skłonne do fanfaronady, będą raczej lubiły bez żadnej potrzeby narażać się na niebezpieczeństwa, aby się swoją odwagą pochwalić: te ostatnie trzeba będzie nieraz hamować w tych objawach próżności i nieźle będzie nawet poddać ich odwagę od czasu do czasu poważniejszej próbie, aby mogły doświadczyć na sobie co to jest bojaźń i jak nie należy ją zupełnie z naszej natury wykorzeniać. Naturalnie, że podobne próby muszą być dokonywane z całą roztropnością, aby nierozważnym straszeniem dzieci nie wstrząsać niepotrzebnie ich nerwami.

W ogóle przy wychowaniu cnoty męstwa trzeba dzieciom dać zrozumieć, że strach i bojaźń same przez się nie są czymś złym, że przeciwnie, są nawet czymś pożytecznym, gdyż zwracają naszą uwagę na grożące nam niebezpieczeństwa. Bać się niebezpieczeństwa naprawdę groźnego nie jest złem: złem jest dopiero pod wpływem strachu tracić głowę i kierować się jego impulsami zamiast słuchać rozkazów rozumu. Kto nad całą tą dziedziną ustanowi stałą kontrolę wewnętrzną i doprowadzi do tego, że władze popędliwe będą w nim sprawnie wypełniać rozkazy rozumu i woli, ten będzie umiał spokojnie i bez trwogi cofnąć się przed niebezpieczeństwem, gdy nie będzie żadnej racji na nie się narażać

lub też rzucić się na nie z całym impetem woli i uczucia gdy rozum tego zażąda.

Co bardzo jest ważnym w pewnym momencie młodości, to nie dać się uwieść marzeniom o męstwie i nie zastąpić tym marzeniem wytrwałego ćwiczenia się w tej cnocie. Męstwo dzięki specjalnemu uznaniu, jakim się cieszy u ludzi, wywiera na młodzież szczególny urok, stąd też i marzenia o Somosierze u chłopców lub o Trębowli u dziewcząt są w okresie wyzwalania się młodej duszy zjawiskiem zupełnie normalnym. Chodzi tylko o to, aby tych aktów męstwa nie odkładać do zbyt odległej przyszłości i nie czekać z nimi na jakieś nadzwyczajne okazje, ale aby je zacząć praktykować na mniejszą skalę w codziennym życiu, kiedy tyle trafia się do tego okazji. Kto zaniedba ćwiczyć się w ten sposób codzień w męstwie, ten napewno się zbłaźni, gdy okoliczności życia zażądają od niego bardziej bohaterskiego przejawu tej cnoty. Dodajmy jeszcze, że dużą pomoc męstwu okazują inne cnoty, gdy je posiądziemy w należytym stopniu, szczególniej te, które są z nią najbliżej spokrewnione, jak wytrwałość, cierpliwość i inne.

Jakkolwiek i samymi siłami przyrodzonymi człowiek może dojść do poważnych rezultatów w dziedzinie męstwa — dzieje dają nam tego dostateczne dowody — to jednak do pełni rozkwitu i ono nie może dojść bez pomocy czynników nadprzyrodzonych. Dopiero wiara, nadzieja i miłość, wskazując jaką wartość posiadają dobra, o które człowiek zabiega na ziemi, dają

męstwu trwały fundament i uczą je w jakiej mierze wolno się kierować obawą o ich utratę.

Jednocześnie z łaski uświęcającej, którą miłość wprowadza do duszy, rozchodzą się po psychicznych władzach człowieka nadprzyrodzone moce, zwane cnotami wlanymi i wywołujące nadprzyrodzone sprawności do dobrego: i we władzy przeto popędliwej powstaje obok innych i nadprzyrodzona cnota męstwa, która nadaje całej tej dziedzinie wyższy poziom i sprawia, że wobec grożących nam niebezpieczeństw wyższą, bo nadprzyrodzoną, zaczynamy kierować się miarą. Dopiero z połączenia męstwa udzielonego władzom popędliwym przez łaskę z tym, które zdobywamy drogą ćwiczenia się i walki, powstaje w nas pełna cnota męstwa chrześcijańskiego, posiadająca cechy i zalety obu dziedzin i trwałość cnót przyrodzonych i rozmach wraz ze zdolnością do zasługi cnót nadprzyrodzonych. Dopiero takie męstwo wolne od zanieczyszczeń próżności i zuchwalstwa daje człowiekowi możność swobodnego używania wszystkich sił zmysłowych swego organizmu do walki ze złem i z otaczającymi go niebezpieczeństwami.

Dodajmy wreszcie, że w najwyższej sferze życia nadprzyrodzonego, w której sam Duch Św. kieruje nami swymi osobnymi impulsami, mamy jeszcze szczególną pomoc w dziedzinie walki z bojaźnią, a to mianowicie w postaci daru męstwa. On to sprawia, że w wyjątkowych sytuacjach, kiedy okoliczności żądają od nas męstwa w niecodziennych rozmiarach dajemy się powo-

dować natchnieniami Ducha Św. nieraz wbrew zwykłym wskazaniom ludzkiej roztropności. Cudowne przykłady tego męstwa, wkraczającego już w dziedzinę mistyki, znajdujemy w aktach męczenników: ta moc ducha okazywana nieraz przez dzieci lub przez ludzi, którzy przedtem tak mało jej okazywali, — weźmy choćby przykład Chilona w „Quo vadis", — a którzy teraz wyrastają na bohaterów wiary, świadczy najwymowniej, do jakiej wyżyny jest w stanie podnieść słabą duszę ludzką Duch Św., gdy w niej na stałe zamieszka i gdy ona podda się całkowicie jej działaniu.

O. Jacek Woroniecki O. P.

ŻYCIE MISTYCZNE U ŚW. KATARZYNY SIENEŃSKIEJ

(dokończenie)

II ROZDZIAŁ

Wielkie łaski zjednoczenia u św. Katarzyny Sieneńskiej.

Św. Katarzyna otrzyma w wieku lat 20, po omówionych już doświadczeniach przygotowawczych, nazwanych przez św. Jana od Krzyża nocą zmysłów i ducha, łaskę zjednoczenia przemieniającego w formie zaręczyn duchowych.

Zaręczyny i zaślubiny duchowe.

Bł. Rajmund z Kapuy mówi o tym w „Życiu" św. Katarzyny (cz. I, rozdz. 12), co następuje: „Dusza świętej wzrastała co dzień w łasce u Stwórcy. Leciała ona raczej niż postępowała na drodze cnoty. Serce jej zapałało świętą żądzą osiągnięcia doskonałego stopnia wiary, pragnęła przez niewzruszone poddanie i niezachwianą wierność stać się jeszcze milszą swemu Oblubieńcowi. Prosiła więc o wzmożenie wiary, której by nic nie mogło złamać ani przytłumić. Wtedy usłyszała w duszy odpowiedź Pana: „Poślubię cię we wie-

rze". Przez długi czas powtarzała dziewica swą modlitwę, otrzymując zawsze tę samą odpowiedź.

Niedługo potem, w r. 1367, gdy rodzina farbiarza sieneńskiego uczestniczyła w okresie poprzedzającym Wielki Post w zabawach karnawałowych, rzekł Zbawiciel do Katarzyny, powtarzającej swą modlitwę: „Dla mnie odrzuciłaś wszelkie uciechy światowe i unikałaś ich..., tylko we mnie zaznało twe serce pociechy. Dlatego to zapragnąłem teraz, gdy wszyscy twoi domownicy oddają się ziemskim uciechom i radościom, uroczyście zaślubić twą duszę. Chcę, jak ci to już obiecałem, poślubić cię we wierze". Wymowna symbolika towarzyszyła tej wielkiej łasce zjednoczenia przemieniającego. Ukazała się Matka Najśw. w otoczeniu św. Jana Ewangelisty, św. Pawła, św. Dominika i proroka Dawida. Przy akompaniamencie harfy św. króla Matka Boża ujęła świętą za rękę, prosząc Syna swego, by raczył poślubić Katarzynę we wierze. Jednorodzony Syn Boży, uczyniwszy znak przyzwolenia, przemówił, wkładając złotą obrączkę ozdobioną 4 perłami i niezrównanie pięknym diamentem na prawą rękę Katarzyny. „Oto ja, twój Stwórca i Zbawiciel poślubiam cię we wierze; wiarę twą zachowasz nieskażoną do dnia, w którym święcić będziesz ze mną wieczyste zaślubiny w niebie. Odwagi więc, córko! odtąd wypełniaj mężnie, bez najmniejszego wahania co tylko Opatrzność moja ci wskaże. Zatriumfujesz nad wszystkimi twymi wrogami, ponieważ jesteś uzbrojona silną wiarą".

Po tych słowach znikło widzenie, lecz obrączka pozostała na zawsze na palcu Katarzyny, widoczna stale jedynie dla niej. Podobne zjawisko spotykamy w żywotach niektórych wielkich świętych. Była to nie tylko łaska zaręczyn, lecz i zaślubin duchowych.

Katarzyna Sieneńska miała wówczas 20 lat. Bł. Rajmund uważa, że zaślubiny te były utwierdzeniem duszy Katarzyny w łasce[1]). Znakiem tego utwierdzenia była tylko dla niej widoczna obrączka. „W ten sposób, mówi biograf, zdobywając zbawienie dla wielu dusz, zbłąkanych wśród wzburzonych fal świata, mogła pokładać całkowitą ufność w pomoc łaski Bożej i nie obawiać się, że ratując innych, sama zejdzie z wytkniętej drogi".

Łaska ta uzmysławia, czym było dla apostołów zesłanie Ducha Św.: Bóg, oświecając ich i wzmacniając, dał im do zrozumienia, że ich umiłował. Chciał ich bowiem wysłać do walki przeciw duchowi świata i zła dla chwały imienia Bożego i zbawienia dusz. Święta miała również otrzymać wyjątkową misję, mającą na celu chwałę Boga i zbawienie wielu. Niebiańska obrączka, niewidoczna dla innych, znak nierozerwalnego związku z Jezusem Chrystusem, będzie dla niej podporą w bardzo ciężkich niekiedy walkach.

---

1) Utwierdzenie w łasce jest wedle autorów mistycznych udzielane zazwyczaj równocześnie z zaślubinami duchowymi, przy których nie musi występować przytoczona tu symbolika.

Gorące pragnienie Komunii.

Wkrótce po otrzymaniu zaślubin duchowych Święta została powołana przez Zbawiciela do życia czynnego w celu zbawienia dusz. Nakaz ten zmusił Katarzynę do opuszczenia swej celi; wówczas odczuła ona niewypowiedziany ból wewnętrzny. Zbawiciel jednak dał jej do zrozumienia, że, podczas gdy ona pracować będzie dla bliźnich, On nie tylko nie odbierze jej swych boskich pociech, lecz je wzmoże.

Święta brała więc zewnętrznie udział we wspólnym życiu, pozostając równocześnie ściśle zjednoczoną z Chrystusem. Wszystko było dla niej ciężarem prócz Tego, którego całym sercem ukochała. Wtedy to wzrosło w jej duszy pragnienie Komunii św., postanowiła przystępować jak najczęściej do Stołu Pańskiego.

Często widziała w rękach kapłana dziecko nowonarodzone lub trochę starsze, albo też gorejące płomienie, które zdawały się pochłaniać sprawującego Ofiarę w chwili gdy spożywał święte postaci. Bardzo często znajdywała w Hostii tak słodki i silny zapach, że niedaleka była od utraty przytomności.

Połączenie z Chrystusem napawało ją tak wielką radością, że mówiła: „taka radość i wesele przenika moją duszę, że dziwię się, że mogę ją przeżyć".

Niekiedy ogarniało ją tak gwałtowne pragnienie zjednoczenia eucharystycznego, że, jeśli była w tym dniu pozbawiona Komunii św., odczu-

wała silniejsze cierpienia fizyczne niż po parodniowej gorączce, lub wielkich bólach. Katusze duchowe były jedynym powodem tych cierpień. Toteż pewnego dnia, gdy nie otrzymała tak upragnionej Komunii, cząstka Hostii została przeniesiona do jej ust w sposób cudowny.

Innym razem, gdy bohatersko zniosła srogie oszczerstwo i ucałowała zropiałą ranę oszczerczyni, otrzymała łaskę picia z rany Serca Jezusowego. Łaskę tę otrzymała niejednokrotnie. Gdy pewnego dnia nie mogła przystąpić do Komunii mimo wielkiego pragnienia, ukazał się jej Chrystus i przyłożył ranę swego Serca do ust Katarzyrzyny; długo piła strumienie życia u źródła. Napój ten napełnił ją taką radością, że myślała, że umrze z miłości. Na pytanie spowiednika co wtedy odczuwała, rzekła, że wypowiedzenie swych wrażeń jest dla niej niepodobieństwem.

Zdarzało się, że żyła tygodniami nie przyjmując żadnego pokarmu prócz Eucharystii.

Zjednoczenie ekstatyczne i zamiana serca.

„Skłonność Katarzyny do ciągłego zjednoczenia duchowego ze Zbawicielem wydawała się tak naturalną, że żadne działanie zewnętrzne, żadne zajęcie fizyczne nie stało nigdy na przeszkodzie temu ścisłemu związkowi. Jak ogień sam przez się wznosi się do góry, tak i dusza Świętej, gorejąca miłością bożą, widocznie kierowana przez przyzwyczajenie, które się stało jakby drugą naturą, dążyła stale do sfer wyższych, gdzie

Chrystus siedzi po prawicy Ojca. Często popadała w ekstazy, co, dodaje bł. Rajmund, naocznie stwierdziłem wraz z braćmi, którym przez przyczynę Słowa Żywota, dała życie w Bogu"[2]).

Odkąd Katarzyna zaczerpnęła napoju życiodajnego u rany boku Zbawiciela, promieniowała taką pełnią łaski, że właściwie żyła stale w kontemplacji[3]). Ekstazy mnożyły się. W końcu Chrystus zapragnął pokazać, jak głęboko serce Świętej jest z Jego Sercem zjednoczone. Uczynił to drogą wyjątkowej łaski, która wyraźnie okazuje, czym jest doskonałe zjednoczenie przemieniające. Pewnego dnia, powtarzając z wielką żarliwością modlitwę Proroka: „Serce czyste stwórz we mnie, Boże, i ducha prawego odnów we wnętrznościach moich" (Ps. 50, 42) błagała Pana, by zabrał jej własne jej serce i wolę. Chrystus sam ją pocieszył następującą wizją: podszedłszy do Katarzyny otworzył jej lewy bok i wyjął serce. Niedługo potem ukazał się jej podczas drugiej ekstazy, niosąc w rękach żywe serce. Zbliżywszy się do Świętej, otworzył jej znów lewy bok i rzekł, wkładając tam trzymane serce: „Córko ukochana, poprzedniego dnia zabrałem ci twe serce, w tej chwili daję ci w zamian moje, a z nim życie wieczne". Wedle biografa pozostała odtąd blizna na piersi Świętej.

Cóż się działo fizycznie w czasie otrzymania tej łaski? Trudno to orzec. W każdym razie jest

2) *Życie*, II, 6.
3) Tamże, II, 2.

to bardzo wymowny symbol zjednoczenia przemieniającego. Ono bowiem przeistacza w pewnej mierze serce świętych w Serce Zbawiciela, rozszerza je i ożywia do głębi uczuciami Chrystusa, jego niezmierzonym miłosierdziem i gorącą miłością do Ojca niebieskiego i dusz. Jest to ostateczne zwycięstwo nad wszelkim egoizmem, nad mniej lub więcej świadomym szukaniem siebie. W ten sposób została wysłuchana modlitwa Świętej: „Serce czyste stwórz we mnie, Boże, i ducha prawego odnów we wnętrznościach moich". Prosiła, by jej odjęto wolę własną; Zbawiciel to uczynił, dając jej w zamian swe Serce, gorejące ognisko miłości[4]).

Życie wynagradzające.

Nastąpiło u Katarzyny najściślejsze zjednoczenie życia kontemplacyjnego i czynnego. Odtąd pracowała bardzo skutecznie nad zbawieniem

4) M. T. Ribet pisze zgodnie z opinią Benedykta XV w swym dziele „La mystique divine" (t. II, str. 635), odnośnie do podobnego faktu w życiu Czcig. Michała od Świętych: „Odnowienie serca może nastąpić w sposób mistyczny; nie musimy przypuszczać więcej, o ile nie wymaga tego przedstawienie faktów (o ile przeciwnie wedle przedstawienia zdaje się zachodzić przeniesienie organu serca), to przytoczone dowody pozwalają z trudnością przypuścić rzeczywistą, fizyczną zamianą. Odnosi się to raczej do zmian wewnętrznych i zewnętrznych, powstałych na wzór i podobieństwo Zbawiciela. Chrystus udziela szczęśliwemu stworzeniu, które ogołaca i wzbogaca zarazem w ten sposób podwójnym darem: dusza otrzymuje dyspozycje i uczucia, będące odbiciem głębokich przywiązań Jego świętej duszy; ciało zaś posiada odtąd serce sharmonizowane ze stanem wewnętrznym, podobnie do harmonii, która istniała między Jego Najśw. Sercem, a poruszeniami duszy".

dusz przez głębokie, a ukryte apostolstwo życia wynagradzającego.

Potrafiła ona, wedle życiorysu, tak doskonale łączyć kontemplację z czynem, że, co jest objawem najwyższej doskonałości, żaden z tych dwu czynników nie umniejszał drugiego. Apostolstwo płynęło u niej z pełni zjednoczenia z Bogiem, zjednoczenia z Jezusem ukrzyżowanym; miłość ku Niemu była dla niej bodźcem do naśladowania Jego życia i bolesnej męki.

Raz, gdy zwierzała się Zbawicielowi z ciężkich zarzutów, które ją spotkały, i prosiła, by wziął w opiekę jej cześć dziewiczą, ukazał się Chrystus, trzymający w prawej ręce złotą koronę, ozdobioną klejnotami, w lewej zaś koronę cierniową i kazał jej wybierać. „Wiedz, córko ukochana — przemówił — że musisz otrzymać kolejno obie te korony. Wybierz, którą z nich wolisz mieć w tym życiu". „Ponieważ dajesz mi, Panie, wybór — odpowiedziała — stwierdzam, że pragnę przede wszystkim upodobnić się w tym życiu do Twej błogosławionej męki; radością moją będzie cierpienie dla ciebie". Mówiąc to, wyrwała w zapale koronę cierniową z rąk Zbawiciela i nałożyła ją tak gwałtownie, że poraniła sobie całą głowę cierniami. Od tej wizji odczuwała zawsze bolesne wrażenie pokłucia. Pan obiecał jej wtedy pełne zwycięstwo nad szatanem, który pobudził przeciw niej niegodziwe oszczerstwa, dodając, że wszystkie te zakusy obrócą się ku pełnej jej chwale[5]).

5) *Życie*, II, 4.

Spontanicznie wybrana korona cierniowa jest wymownym symbolem życia wynagradzającego. Katarzynę Sieneńską czekały jeszcze wielkie cierpienia — nie będą to już jednak cierpienia oczyszczające, podobne do wyżej omówionych doświadczeń. Dusza Świętej jest już oczyszczona. Cierpienia te, podobne do męki Zbawiciela i Jego Matki Najśw. mają przede wszystkim na celu wynagradzanie za grzeszników i uproszenie im łaski nawrócenia.

Katarzyna Sieneńska otrzymała jeszcze łaskę picia z rany Serca Jezusowego; to napawanie się u świętej Rany i otrzymanie korony cierniowej idą równolegle.

Chrystus poszukuje dusz, które zechcą dzielić Jego cierpienia i pragnie, by zupełne unicestwienie, podobne do mąk Kalwarii, było ich udziałem; jest to ostatnie przeistoczenie duszy w Jezusa Ukrzyżowanego, mające na celu zbawienie grzeszników.

Ten stan został stwierdzony u św. Katarzyny w ostatnich latach jej życia, w czasie rozłamu, powstałego w Kościele wskutek schizmy zachodniej. Święta ofiarowała się wówczas na intencję powrotu do jedności. Niebezpieczeństwo groziło życiu papieża. Katarzyna modli się żarliwie przez kilka dni i nocy o odwrócenie tej zbrodni, zadając sobie równocześnie ciężkie umartwienia.

Prośby jej odniosły skutek, gdy zawołała: „Niech wszystkie katusze, na jakie sobie ten lud zasłużył na mnie spadną. Dla Ciebie i Twego Kościoła spełnię chętnie ten kielich boleści

i śmierci, którego zawsze pragnęłam. Prawda Twa jest źródłem miłości, którą za przyczyną Twej łaski serce moje i dusza zapałały do Ciebie"[6]).

Od tej chwili zaczęły cichnąć szemrania ludu rzymskiego przeciw papieżowi i niedługo ustały zupełnie; wynagradzać musiała za nie przez pełnię cnoty Dziewica Sieneńska.

Przyszły na nią dziwne, wciąż wzrastające cierpienia, wskutek których schudła niepomiernie i wyglądała jak trup, nie jak żywy człowiek. Mimo tego, jak twierdzi bł. Rajmund, Święta nie zaprzestała normalnego życia, modlitwy i pracy; aktywność ta jednak wydawała się świadkom raczej cudowna niż naturalna. Otaczające ją dzieci duchowne, którym dała życie Chrystusowe, zauważyły ślady razów i ran, zadawanych jej przez wroga piekielnego, nie mogą im jednak zaradzić. Zresztą sama Katarzyna, której dusza pozostała wielka i silna w słabnącym ciele, przyjmowała z radością te udręki.

W ten sposób cierpiała w ostatnich tygodniach życia; cierpienia jej rosły wraz z modlitwą aż do chwili śmierci. Umarła, wedle bł. Rajmunda, w 33 roku życia, upodobniona rzeczywiście do Ukrzyżowanego Chrystusa. Uczestniczyła bowiem w Jego życiu dziecięcym, w życiu ukrytym, apostolskim i bolesnym, zanim otrzymała udział w Jego życiu chwalebnym w wieczności.

Oto są wielkie łaski zjednoczenia u św. Katarzyny, zjednoczenia przemieniającego od chwili

6) Tamże, III, 2.

zaręczyn duchowych, które przeżyła w 20 roku życia, aż do lat 33, chwili śmierci. Widać tu gorące pragnienie Komunii, częste ekstazy, przemianę jej serca w serce Zbawiciela, w końcu głębokie życie wynagradzające oblubienicy cierniem ukoronowanej, która długo piła u rany boku Jezusowego. Doskonale upodobniła się Święta swemu Mistrzowi przez miłość, światłość życia i cierpienie wynagradzające.

Toteż wielu nawróciło się za przyczyną Dziewicy Sieneńskiej. Trzej zakonnicy, którzy jej zwykle towarzyszyli, nie mogli nadążyć w spowiadaniu tych wszystkich, których przyprowadzała do Boga. Bł. Rajmund opisuje tylko najznaczniejsze spośród tych nawróceń. Do najbardziej uderzających należą: nawrócenie Andrzeja z Naddino, opętanego przez wiele namiętności; dwu zbrodniarzy, którzy bluźnili w drodze na miejsce kaźni; rodziny Tolomeuszów, z których kilku prowadziło występne życie. Katarzyna wyprosiła również nawrócenie Polmeriny, swej nieprzyjaciółki, której groziła śmierć bez pojednania z Bogiem.

Oczywistym znakiem wysokiej świętości służebnicy Bożej, która w pełni zasłużyła na tytuł Oblubienicy Chrystusa jest fakt, że przywiązywała ona większą wagę do zmartwychwstania duszy niż ciała. Upodobniła się w zupełności do swego Mistrza i z Nim, przez Niego i w Nim wyprasza dla tych, którzy wzywają jej pośrednictwa, najcenniejsze łaski, mające na celu skierowanie ludzi na drogę życia wiecznego.

To promieniujące działanie jest jednym z najpiękniejszych objawów mistyki chrześcijańskiej, mistyki, która nie zatrzymuje się w abstrakcyjnej, a bezpłodnej kontemplacji, jak to czynią systemy wschodnie, lecz przynosi stale owoce życiodajne w czasie i w wieczności. Tak sprawdza się pierwsza zasada rozróżnienia dusz: drzewo poznaje się po owocach, które przynosi. Tu mamy do czynienia z owocami ewangelicznymi, z nawróceniem grzeszników i powrotem ich do Boga. Katarzyna Sieneńska żyła tak głęboko Chrystusem, że zmuszała wprost swe otoczenie do życia Nim również. W niej sprawdzają się słowa św. Pawła: „Chrystus jest życiem moim, a śmierć jest zwycięstwem". Śmierć jej była, podobnie jak i Chrystusa, śmiercią ofiary i jeśli nie mogła uczestniczyć sakramentalnie w kapłaństwie Zbawiciela, brała najgłębszy udział w Jego życiu ofiarnym.

O. R. Garrigou-Lagrange, O. P.

MYŚL LITURGICZNA

HAEC DIES QUAM FECIT DOMINUS
(Wielkanoc).

„Święto nad świętami" — solemnitas solemnitatum — tak nazywa św. Grzegorz Wielki uroczystość wielkanocną! Jest to bowiem największe święto roku kościelnego, oś około której cały cykl liturgiczny się obraca. „W tym dniu, który uczynił Pan", obchodzimy pamiątkę największego cudu — zwycięstwa Chrystusa nad śmiercią, — cudu, na którym opiera się nasza wiara w bóstwo Jego. „Jeśli bowiem Chrystus nie powstał, — mówi Apostoł — próżne jest przepowiadanie nasze, próżna jest i wiara wasza... Jeśli Chrystus nie powstał, jesteśmy nędzniejsi, niźli wszyscy ludzie" (I Kor. XV, 14, 19). Dlaczego? — bo tracimy grunt pod nogami; zamiast na niewzruszonej opoce pewności, zbudowaliśmy gmach religii naszej na piasku, i lada deszcz, lada rzeka wezbrana ulewą podmyje go, — „i stanie się upadek jego wielki" (Mat. VII, 27).

Lecz tak nie jest. Chrystus zmartwychwstał: „*Surrexit Dominus vere*", i na tej niezaprzeczonej, historycznie stwierdzonej prawdzie opieramy ufną i radosną wiarę naszą.

„Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat!" Te słowa triumfalne, wyryte na granitowym obelisku placu św. Piotra w Rzymie, głoszą na cały świat dzisiejsze Jego zwycięstwo.

„Resurrectio Salvatoris nostri Jesu Christi secundum carnem". — Zmartwychwstał według ciała śmiertelnego, które przyjął na się w stajence betlejemskiej. W dniu Bożego Narodzenia śpiewał Kościół w Martyrologium: *„Nativitas Domini nostri Jesu Christi secundum carnem".* Radość tu i radość tam, — chrystianizm bowiem jest religią radości. Ale 25-go grudnia radość nasza była nieco przyćmiona świadomością, że to narodzenie jest dla Syna Bożego zapowiedzią i początkiem męki i śmierci; bo na to przyszedł On na świat, by cierpieć i umrzeć, i tak wysłużyć nam życie wieczne, przywrócić prawo utracone do nieba.

Cała liturgia wielkanocna tchnie niepohamowaną radością. Czytane części zmienne Mszy św. są dziwnie krótkie, — śpiewane zaś długie, bo śpiew jest wyrazem radości.

Uwertura Mszy św. — Introit wielkanocny — tchnie powagą i głębokim acz tłumionym weselem: *„Resurrexi"*: „Powstałem i jeszczem przy Tobie, Alleluja. Położyłeś na mnie rękę Twoją, Alleluja. Przedziwna stała się wiedza Twoja, Alleluja, Alleluja".

Słowa te są wyjęte z psalmu 138. „Przeniknąwszy grobu mury" — jak śpiewa nasza stara pieśń — Chrystus staje przed tronem Ojca swego i oznajmia Mu: „Zmartwychwstałem". Melodia

gregoriańska kroczy z majestatycznym spokojem, a ma przytem coś bardzo tajemniczego: to poufna rozmowa dwóch Osób Boskich o dokonanym dziele Odkupienia. *„Posuisti super me manum tuam"*: to ręka Ojca Przedwiecznego dotknęła martwego, umęczonego ciała Pana Jezusowego i przywołała je do życia. Czy to nie wymowna odpowiedź na bolesną skargę Ukrzyżowanego: „Boże, Boże mój, czemuś mnie opuścił?"

Nie opuścił Go Ojciec niebieski, lecz chciał by Jednorodzony Jego wychylił aż do dna kielich Odkupienia i tak zbawił grzeszną ludzkość. A ta *„scientia"*, o której wspomina Psalmista, to mądrość Boża, która cudownie pokierowała wszystkim, i po ostatecznym poniżeniu — „robak a nie człowiek", mówił o Nim prorok — doprowadziła do triumfu w chwili, gdy wszystko zdawało się stracone, On i dzieło Jego zniszczone bezpowrotnie.

Kolekta dziękuje Bogu, że z Synem Jego zmartwychwstały i członki mistycznego Ciała: wskazuje na to słówko *„nobis"*. W Wielką Sobotę bowiem udzielano dawniej masowo Chrztu św. gotującym się doń przez cały Wielki Post katechumenom, i neofici byli obecni na wielkanocnym nabożeństwie w swych białych szatach chrzcielnych. Bramy niebios zostały im otworzone przez zwycięstwo ich Wodza nad śmiercią *(„aeternitatis nobis aditum devicta morte reserasti")*. Na zakończenie Kościół prosi dla nich o wytrwałość w tym świętym odnowieniu *(„vota nostra... prosequere")*.

W Lekcji (I Kor. V, 7-8) św. Paweł wzywa nas do oczyszczenia się ze starego kwasu, abyśmy byli zaczynem nowym. List ten, zwrócony do młodej gminy chrześcijańskiej w Koryncie, złożonej przeważnie z nawróconych Żydów, robi aluzję do następującego przepisu zakonu Mojżeszowego: podczas 8-mio dniowych świąt Paschy wolno było tylko jeść chleb przaśny; przed zaczęciem uroczystości wszelki ślad starego kwasu musiał zniknąć z domu, i uczta Paschalna była obchodzona nowym zaczynem. Stąd nazwa: „święta Przaśników“, nadana żydowskiej Wielkanocy już w księdze Wyjścia (XII, 15).

Św. Paweł używa tu przenośni: ten „stary kwas“ — to „złość i przewrotność“ starego człowieka; a „przaśniki“ — to „szczerość i prawda“, które powinny cechować stosunki między chrześcijanami. Paschą naszą jest Chrystus, prawdziwy Baranek wielkanocny, którego dawny był tylko figurą. Ofiarowan jest za nas, zabity jest dla nas — obie te rzeczy oznacza jedno słowo łacińskie *immolare* — aby nam dać życie, i to życie wieczne.

Po Lekcji rozbrzmiewa *„Haec dies“*, prawdziwy „Leitmotiv“ nie tylko dzisiejszego dnia, ale całej oktawy wielkanocnej[1]). Kto go nie słyszał w gregoriańskiej melodii, ten nie wie, co to radość!

---

1) Powtarza się on jako Graduał przez cały tydzień i na końcu każdej Hory, aż do Soboty in Albis.

Słowa wzięte są z psalmu 117: *„Confitemini“*, psalmu wielkanocnego „par excellence“.

„Haec dies“ — „Tenci jest dzień“... Dla Żydów był to dzień poświęcenia drugiej świątyni i na tę uroczystość był pierwotnie napisany; był to też dzień Paschy, w którym go śpiewano po spożyciu Baranka Wielkanocnego.

„Quam fecit Dominus“... „który uczynił Pan“: Bóg uczynił wszystkie dni, białe i czarne, pomyślne i niepomyślne; ale w tym dniu wybawił Żydów z niewoli egipskiej, w tym dniu rozkazał im odbudować świątynię i obchodzić rocznicę jej poświęcenia. Dla nas chrześcijan uczynił Pan dzień ten wielkim i pamiętnym przez Zmartwychwstanie Syna swego i przez wskrzeszenie duchowe tylu umarłych, którzy corocznie w tym dniu odzyskują życie, bądź w wodach Chrztu, bądź w Sakramencie Pokuty.

„Exsultemus et laetemur in ea“ — „Radujmy się i weselmy się weń“: tu melodia wzbija się na wyżyny takiego entuzjazmu, że przez chwilę pozostaje jakby w zawieszeniu, a potem powoli opada, jakby z żalem, kończąc tę radosną pieśń tęsknym akordem molowym.

Lecz po chwili milczenia wybucha paschalne *„Alleluja“* z takim porywającym przekonaniem, że nie oprze się mu chyba najzatwardzialszy niedowiarek. Następujące po nim słowa: *„Pascha nostrum immolatus est Christus“*, są echem poprzedzającej Lekcji. Melodia towarzysząca im jest arcydziełem religijnego liryzmu, cudownym wyra-

zem najgłębszej, najczystszej, iście boskiej radości.

Bezpośrednio po Graduale i Alleluja chór intonuje słynną sekwencję wielkanocną *„Victimae paschali"*, dzieło burgundzkiego mnicha Wipona, kapelana cesarza Konrada Salickiego (w. XI). Utwór ten, o bardzo swobodnym metrze, odznacza się żywym tętnem, energią wyrażeń i wielkim entuzjazmem. Pierwsze zwrotki streszczają w potężnej syntezie mysterium paschalne: „Baranek odkupił owce" — najdawniejsza figura Chrystusa Pana, umierającego za grzechy świata; począwszy od ofiary Abla, poprzez ofiarę Abrahama i baranka wielkanocnego spożytego w Egipcie, o którym pisze księga Wyjścia, — aż do owego Baranka apokaliptycznego, jakoby zabitego, a przecież żywego, o którym mówi Prorok z Patmos. Druga część sekwencji, wysoce dramatyczna, wprowadza Marię Magdalenę i Apostołów; wszczyna się ożywiony dialog (melodia porusza się w wyższych tonach, gdy przemawia Magdalena, a zstępuje do basów, gdy odzywają się Apostołowie). Nowsi krytycy widzą w tym ustępie początek dramatów wielkanocnych, tak rozpowszechnionych potem w wiekach średnich. Część trzecia zawiera mocne wyznanie wiary w cud Zmartwychwstania, a wreszcie prośbę o boskie zmiłowanie:

„Wiemy iż Chrystus zmartwychwstał prawdziwie.
Ty, Królu zwycięzco, zmiłuj się nad nami".

Słowa te przypieczętowane są gromkim: *„Amen, Alleluja!"*

Ewangelia św. Marka (XVI, 1-7) opowiada jak Anioł zwiastuje świętym Niewiastom Zmartwychwstanie Pańskie; daje im również polecenie powiadomienia o tym Apostołów, a zwłaszcza Piotra, przewodniczącego małej trzódki. Zważmy, że zawsze Anioł, wysłaniec niebieski, zwiastuje ludziom największe tajemnice Boże: Wcielenie, Narodzenie, Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie. Grób jest pusty; żadne oko ludzkie nie oglądało samego faktu Zmartwychwstania. Chrystus bowiem zmartwychwstał tak jak się był narodził, — w ciszy, w samotności, bez świadków: „Surrexit Christus sepulcro clauso, sigillo inviolato, sicut ex utero Virginis natus est“, — jak nauczają Ojcowie Kościoła[2]).

Antyfona zwana Offertorium jest echem ewangelii, tak jak Graduał jest echem Lekcji; wyjęta jest z psalmu 75, który opiewa zwycięstwo Izraela nad Asyryjczykami i wyraża trwożne zdumienie całego stworzenia na widok Zmartwychwstania Pańskiego: „Ziemia zadrżała i umilkła, gdy powstał Bóg na sąd“. Słowa te przypominają również trzęsienie ziemi, o którym wspominał św. Mateusz w ewangelii wielkosobotniej.

Sekreta prosi, aby Bóg raczył przyjąć modlitwy ludu swego wraz ze złożonymi ofiarami chleba i wina, i sprawił, aby tajemnicami wiel-

---

2) „Chrystus zmartwychwstał z grobu zamkniętego, nie naruszywszy pieczęci, tak jak się był narodził z łona Dziewicy“.

kanocnymi uświęcone, stały się nam zadatkiem szczęśliwej wieczności.

Wspaniała Prefacja wielkanocna jest, zdaniem nowszych liturgistów, dziełem św. Leona Wielkiego; streszcza ona po mistrzowsku tajemnicę wielkanocną: Męka i Zmartwychwstanie są nierozłączne; Chrystus umierając śmierć naszą zwyciężył, a zmartwychwstając życie nam przywrócił: *„mortem nostram moriendo destruxit et vitam resurgendo reparavit"*. On jest prawdziwym Barankiem wielkanocnym: *„Verus est Agnus"*, i zgładził grzechy całego świata, położywszy koniec figurom: *„Pascha nostrum immolatus est Christus"*.

Prefację tę śpiewać będzie Kościół przez dni 40, aż do uroczystości Wniebowstąpienia. Natomiast specjalne *Communicantes* i *Hanc igitur* w Kanonie, odmawiamy tylko podczas oktawy Wielkanocnej; pierwsza z tych modlitw wspomina o „uroczystym obchodzeniu najświętszego dnia Zmartwychwstania Pana naszego Jezusa Chrystusa według ciała", — druga prosi Boga „za tych, których raczył odrodzić z wody i z Ducha Świętego", tj. za nowoochrzczeńców.

Antyfona do Komunii wyjęta jest z Lekcji czytanej na początku Mszy św.; powtórzywszy po raz trzeci radosną nowinę wielkanocną: „Pascha nasza ofiarowan jest Chrystus", — zachęca nas do niemniej radosnej uczty wielkanocnej; — możemy pomyśleć o naszym tradycyjnym polskim święconem, śpiewając: *„Epulemur in azymis sinceritatis et veritatis"* — ucztujmy w

przaśnikach szczerości i prawdy, alleluja, alleluja, alleluja!"

Szczerość i prawda względem Boga i bliźniego, czy to nie owoc miłości, o którą prosi wspaniała Postkomunia: „Zlej na nas, Panie, Ducha Twej miłości, abyśmy Sakramentami wielkanocnymi zasileni, przez miłosierdzie Twoje trwali w jedności i zgodzie".

Te *„Sacramenta paschalia"* w liczbie mnogiej, — to Chrzest, Bierzmowanie i Eucharystia, które katechumeni otrzymywali w tej prawdziwie „Wielkiej Nocy" z soboty na niedzielę. Pamięć o nich przewija się przez całą liturgię paschalną: Kościół spogląda z lubością na te *„agni novelli qui annuntiaverunt Alleluia"*, cieszy się nimi przez całą oktawę z macierzyńską dumą i macierzyńską czułością, pokazując te swoje klejnoty, jak starożytna Kornelia, matka Grakchów.

Po skończonej zaś Mszy św. żegna swe dziatki zwykłym życzeniem: *„Ite missa est"*, ale dodaje na śliczną gregoriańską melodię dwa Alleluia; na co chór odpowiada na tę samą weselną nutę:

„Deo gratias, — Alleluia, Alleluia!"

S. M. R.

TEKSTY KLASYCZNE

LIST ŚW. KATARZYNY SIENEŃSKIEJ DO PEWNEGO WIELKIEGO PRAŁATA

Rozmowa między Jezusem a Katarzyną o pragnieniu miłosnym, które miał On do zbawienia dusz naszych, tak że cierpienie słodkim Mu było. Niechaj prałaci miłują dusze a nie mienie swoje; niechaj cierpią nad występkami równych sobie, lecz ich nie przemilczają.

W imię Chrystusa Ukrzyżowanego i słodkiej Maryi Panny.

Czcigodny i najdroższy Ojcze w Chrystusie Jezusie! ja Katarzyna służebnica i niewolnica sług Chrystusowych piszę do was w drogiej Krwi Jego. Pragnę widzieć was głodującego dla chwały Bożej za pokarmem, którym są stworzenia[1]); uczcie się od przedwiecznej słodkiej Prawdy, która umiera z głodu i pragnienia zbawienia naszego. Zdaje się, że ten Baranek Niepokalany nie może się nasycić; napojony obelżywościami

---

1) Mówi w innym liście jaśniej o żywieniu się dobrem dusz stworzonych przez Boga. Wznioślej niż Petrarca:
Pusco la mente d'un si nobil cibo
Che ambrosie et nettar non invidio a Giove.

woła i mówi, że pragnie. Jeżeli miał pragnienie fizyczne to większym jeszcze było Jego pragnienie zbawienia dusz. O nieocenione najsłodsze Miłosierdzie! nie wydaje się byś dał tak wiele wydając Siebie na takie męki, bo większym jeszcze pozostało pragnienie zbawienia dusz, by dać więcej jeszcze, wszystko[2]). A przyczyną tego jest miłość. Nie dziwię się temu; ponieważ miłość twoja była nieskończona, a cierpienie skończone. I dlatego był Mu większym krzyż pragnienia niż krzyż ciała.

To mi przypomina, co słodki i dobry Jezus oświadczył pewnego razu jednej swej służebnicy. Kiedy widziała w Nim krzyż pragnienia i krzyż ciała spytała Go: Panie mój miły, które cierpienie było dla Ciebie większe, cierpienie ciała czy cierpienie pragnienia? A On odrzekł słodko i dobrotliwie: córko moja, nie wątp: bo nie można żadnego czynić porównania między rzeczą skończoną a nieskończoną. Pomyśl, że cierpienie cielesne było dla mnie skończone, lecz święte pragnienie nigdy się nie kończy. Dlatego nosiłem krzyż świętego pragnienia. A nie przypominasz sobie, córko moja, że kiedy objawiłem ci moje narodzenie, widziałaś mnie Dziecięciem ubożuchnym, urodzonym z krzyżem nad głową? Dlatego wiedz, że kiedy ja Słowo Wcielone zostałem rzucony jako nasienie w żywot Matki mej, zaczął

---

2) Tak podkreślając osiąga większą siłę w wyrażeniu miłości. Od wezwania przychodzi do miłości Jezusa, do Jezusa samego, w pięknym nieporządku.

się dla mnie krzyż pragnienia, tj. pożądanie, aby działać w posłuszeństwie dla Ojca mego i wypełnić wolę Jego w człowieku; t. zn. by człowiek został przywrócony Łasce i otrzymał cel, dla którego został stworzony. Ten krzyż był dla mnie większym cierpieniem niż jakiekolwiek inne, które kiedykolwiek ponosiłem w ciele. I dlatego duch mój unosił się największym weselem kiedy widziałem, że nadchodzi ostatnia godzina moja; a szczególnie podczas ostatniej wieczerzy w Wielki Czwartek. I dlatego powiedziałem: „pożądaniem pożądałem pożywać z wami tę paschę"; t. j. Ojcu złożyć ofiarę z ciała mego. Największą radością i pociechą było dla mnie, gdym widział zbliżający się czas, który miał mnie uwolnić od tego krzyża pragnienia, gdy się zbliżałem do biczowania, do mąk cielesnych; wtenczas zmniejszało się cierpienie moje. Także cierpienie fizyczne ustępowało przed cierpieniem pragnienia, ponieważ widziałem wypełnione to, czego pragnąłem". Ona odpowiedziała: „O Panie mój słodki! Ty mówisz, że cierpienie pragnienia odstąpiło od Ciebie na krzyżu. Jakim sposobem? Żaliś przestał mnie pragnąć?" A On odrzekł: „Córko moja miła, nie. Kiedy umierałem na krzyżu, z chwilą kiedy skończyło się życie — skończyło się i cierpienie pragnienia świętego, lecz nie skończyło się samo pragnienie i głód zbawienia waszego. Gdyby się było skończyło, gdyby była wyczerpała się niewymowna miłość, którą mam dla całego rodzaju, przestalibyście istnieć. Ponieważ tak jak miłość wyprowadziła was z łona

Ojca mego, kiedy was stwarzała mądrością swą, tak też miłość zachowuje was, jako że z miłości tylko jesteście stworzeni. Gdyby Ojciec cofnął swą miłość z tą wszechmocą i mądrością, przez którą was stworzył, przestalibyście istnieć. Ja Jednorodzony Syn Boga stałem się źródłem, który wam daje wodę Łaski. Ja wam objawiam miłość Ojca mego, ponieważ miłość, którą On ma, i ja mam także; ponieważ jestem jedno z Ojcem, a Ojciec jedno ze mną; i przeze Mnie objawił się. I dlatego rzekłem: co od Ojca wziąłem, objawiłem wam. Przyczyną wszystkiego jest Miłość".

Stąd widzicie dobrze, Ojcze Czcigodny, że dobry, słodki Jezus, Miłość, umiera z pragnienia i głodu zbawienia naszego. Proszę na Miłość Chrystusa Ukrzyżowanego, byście sobie za wzór postawili głód Baranka. Dusza moja pragnie widzieć was umierającego prawdziwym i świętym pragnieniem z miłości i afektu, który macie dla chwały Boga, zbawienia dusz i wywyższenia Kościoła; chcę was widzieć tak w ten głód wzrastającego, byście z owego głodu umarli. Byście jak Syn Boży (jak już powiedzieliśmy), który z głodu umarł i wy umarli dla wszelkiej miłości własnej, dla wszelkiej namiętności zmysłowej, niechaj umrze wola i pożądanie wasze dla godności i uciech świata, dla przyjemności i całego jego przepychu. Nie wątpię, że jeżeli oko waszego poznania zwróci się, by patrzeć na siebie, pozna, że wy właściwie nie jesteście i przekonacie się, że byt wasz został wam dany z wielkim ogniem miłości. Mówię, że serce i afekt wasz nie będzie

mógł powstrzymać się, by się nie strawić miłością, i nie będzie mogła żyć wasza miłość własna. Nie będzie szukała siebie[3]) dla siebie, ani bliźniego dla siebie, dla własnej korzyści, lecz będzie go miłowała i pragnęła jego zbawienia dla chwały i uwielbienia imienia Bożego. Ponieważ widzi, że Bóg stworzenie swe nade wszystko miłuje. I dlatego słudzy Boży tak[4]) miłują stworzenia, ponieważ widzą, że Stwórca tak bardzo je miłuje; a warunkiem miłości jest: miłować tego, którego Umiłowany mój miłuje. Mówię, że nie miłuję Boga dla siebie, lecz miłuję Go o tyle, o ile jest Dobrem najwyższym i wiecznym, godnym być miłowanym. Naprawdę, Ojcze, oni porzucili życie i o nim zapomnieli, bo o sobie nie myślą. Pragną tylko cierpień, męczarni, szyderstw; gardzą wszystkimi udręczeniami świata; bo tak ciężkim jest krzyż i cierpienie, które znoszą widząc obrazy i obelgi Bogu wyrządzane i potępienie stworzeń. A tak wielkim jest to cierpienie, że zapominają o swym własnym przywiązaniu do życia. I nie tylko, że nie uciekają przed cierpieniami, lecz nimi się cieszą i idą na ich poszukiwanie. Zgadzają się z owym słodkim miłośnikiem Pawłem, który przechwalał się cierpieniami dla miłości Chrystusa Ukrzyżowanego. Otóż chcę i proszę was byście postępowali za tym miłym chorążym.

---

3) Nie można zniweczyć miłości siebie, lecz można podporządkować ją wyższej miłości i tak ją uszlachetnić i dopełnić.

4) Psalm: Delectasti me, Domine, in factura tua.

Biada, biada nieszczęsna duszo moja! Otwórzcie oko wasze a patrzcie na zniszczenie śmierci, które zamieszkało na świecie a szczególnie w ciele Kościoła świętego. Patrzcie, Ojcze, jak wilk piekielny porywa stworzenia, owieczki, pasące się w ogrodzie świętego Kościoła. A nie ma nikogo ktoby powstał, aby mu je wydrzeć z paszczy. Pasterze śpią w miłości własnej, w chciwości, w nieczystości: są tak pijani pychą, że śpią i nie trzeźwieją, żeby spostrzec, że diabeł, wilk piekielny, wykrada życie Łaski nie tylko im ale i ich podwładnym. Nie troskają się o to. A przyczyną tego wszystkiego jest przewrotność miłości własnej. O jakże przewrotną jest ta miłość własna w prałatach i podwładnych. Jeżeli jest prałatem, a ma miłość własną, nie gani wad swych podwładnych; ponieważ ten, który miłuje siebie dla siebie, popada w bojaźń służalczą i dlatego nie karci winnych. Gdyby miłował siebie dla Boga, byłby wolny od bojaźni służalczej i gorliwie, sercem mężnym karciłby błędy i nie milczałby, nie udawałby, że ich nie widzi. Chcę, byście byli pozbawieni tej miłości, Ojcze drogi. Proszę was, postępujcie tak, by Przedwieczna Prawda nie powiedziała do was tego twardego słowa nagany: „Przeklęty iżeś milczał". Biada mi, nie milczeć więcej! Krzyczcie stu tysięcy językami. Widzę, że przez milczenie świat się zepsuł, Oblubienica Chrystusowa pobladła, odebrano jej rumieniec, ponieważ wyssano jej krew z grzbietu t. j. krew Chrystusa, która jest dana z łaski a nie z musu, oni ją skradli z pychy

wydzierając chwałę winną Bogu a oddając ją sobie. Grabią ją przez symonię sprzedając dary i łaski, które nam są dane z miłosierdzia za cenę Krwi Syna Bożego. Biada mi, że umieram a umrzeć nie mogę. Nie śpijcie więcej w niedbalstwie, działajcie teraz, t. j. kiedy możecie. Wierzę, że przyjdzie czas taki, że będziecie mogli więcej uczynić; lecz teraz, w chwili obecnej, proszę was, byście duszę waszą ogołocili z wszelkiej miłości własnej i przybrali ją w głód cnoty prawdziwej i rzeczywistej na chwałę Bożą i zbawienie dusz. Umacniajcie się w Chrystusie Jezusie, słodkiej Miłości, a wkrótce zobaczymy kiełkujące kwiaty. Starajcie się, by niedługo wzniósł się Sztandar Krzyża świętego. I niechaj nie słabnie miłość serca waszego z powodu jakiejkolwiek trudności, która powstanie, lecz tym bardziej się umacniajcie, myśląc, że Chrystus Ukrzyżowany będzie Czynicielem i Wykonawcą żarliwych pragnień sług Bożych. Nic więcej nie powiem. Trwajcie w świętej i słodkiej miłości Bożej. Tońcie w krwi Chrystusa Ukrzyżowanego: ukryjcie się w ranach Chrystusa Ukrzyżowanego; połóżcie się na krzyżu z Chrystusem Ukrzyżowanym; wykąpcie się w Krwi Chrystusa Ukrzyżowanego. Ojcze, wybaczcie mej śmiałości. Jezus Słodki, Jezus Miłość!

WZORY DO NAŚLADOWANIA

DROGA DOSKONAŁOŚCI O. JACKA CORMIER

(dokończenie)

III

Stanowisko socjusza, na które powołany został O. Cormier, wymaga duszy wyrobionej, znającej doskonale ducha zakonu, umiejącej udowadniać i bronić w razie potrzeby, swego zdania, a przytem, mającej tylko dobro całego zakonu na względzie.

Ponieważ jednak socjusz jest tylko doradcą, więc musi często ustępować, naginać swe zdanie i sam usuwać się w cień, odkładając swe osobiste pragnienia i sprawy zawsze na bok.

O. Jacek doskonale nadawał się do tego urzędu: bo z jednej strony przez całe życie studiował i zgłębiał konstytucje zakonne i kochał szczerym sercem swój zakon, z drugiej — był cichym, pokornym i bardzo wewnętrznie wyrobionym zakonnikiem. Poza tym miał i zewnętrzne kwalifikacje, bo znał Rzym i pracę w Kurii, a językiem włoskim władał poprawnie i biegle.

W obowiązkach socjusza, włożonych na niego, widział przede wszystkim myśl Bożą, więc szukał w niej, jak i wszędzie, wartości nadprzyrodzonych. O ko-

rzyściach, jakie może przynieść duszy ten urząd, pisze w liście do jednej zakonnicy, asystentki przełożonej: *Po nabożeństwach i zebraniach kościelnych, podczas których obcujemy z samym Bogiem, najświętszymi zebraniami są Rady zakonne, ponieważ na nich mówimy o Bogu, o tym, co do chwały Bożej jest potrzebne, a mówimy w Jego obecności, ćwicząc się w całym szeregu cnót: duchu modlitwy i duchu pokory — uznając niewystarczalność naszego umysłu, duchu mądrości — ważąc wszystko z odpowiednią dojrzałością, w duchu nadziei — licząc na szczególną pomoc łaski Bożej i nawet w duchu prostoty, szczerości, szacunku, grzeczności w sposobie słuchania innych i wymianie zdań. „To wszystko tchnie nadprzyrodzonością".*

Jedną z pierwszych i najważniejszych prac O. Cormier na stanowisku socjusza była współpraca nad uporządkowaniem konstytucyj zakonnych, które, choć wydrukowane w XVI w., miały takie mnóstwo poprawek i dopisków, że się przejrzystość właściwego tekstu zupełnie zatarła. Trzeba było wszystko przestudiować na nowo, przemyśleć, porównać z najstarszym tekstem i dostosować przepisy do potrzeb obecnych.

O. Jacek nie był w tych sprawach zupełnym nowicjuszem, za czasów bowiem, kiedy był sekretarzem O. Jandel'a, dopomagał mu już w opracowywaniu projektu nowego wydania, które jednak wówczas skończone nie było.

Praca ta długa, trudna i odpowiedzialna, nie wystarczała jego duszy apostolskiej. Spowiadał i kierował nie tylko pojedyńczymi duszami, ale całymi zgromadzeniami. Utrzymywał dużą korespondencję z penitentami pozostałymi we Francji i z listów tych widzimy, jak bardzo głęboko ujmował sam życie wewnętrzne, jeżeli takie nauki dawał innym. Choć wszystkim zaleca miłość Bożą, gorliwość, prostotę, pokorę, i wiele innych cnót, to jednak nie prowadzi dusze według jakiegoś szablonu, ale uwzględnia indywidualność każdej. Świetnie obserwuje działanie łaski w duszy

i żąda wierności jej. Łaski wskazują drogę, po której Bóg — najlepszy kierownik — chce duszę prowadzić, a okoliczności i zdolności osobiste określają bliżej sposób w jaki żyć mamy. Nic na świecie nie dzieje się przypadkowo i poprzez najdrobniejsze szczegóły życia codziennego przewija się ścieżka przewidziana przez Boga, jako jedyna droga wiodąca do doskonałości. Duszpasterstwo uprawiał O. Cormier z umiłowaniem i wielką umiejętnością.

Niestrudzonemu w pracy dla chwały Bożej czas prędko mijał. Tymczasem wola generała przydzieliła mu znów inny urząd: został Prokuratorem generalnym zakonu, czyli najwyższym, po Generale, dygnitarzem. Ze zwykłym spokojem i pogodą porzucił jedno zajęcie a rozpoczął nowe. Dla duszy tak wyrobionej obojętnym było, co woli, byle wiedział, że idzie po drodze woli Bożej. — Teraz wszystkie zewnętrzne sprawy zgromadzenia miały być przedmiotem jego starań. Z konieczności musiał często bywać w Watykanie i omawiać z Ojcem św. interesa zakonu. Do każdej z tych wizyt przygotowywał się z ogromną wiarą, uświadamiając sobie, że z zastępcą Boga samego rozmawiać będzie. I chociaż często ziemskie sprawy omawiano na tych audiencjach, to jednak przy tej poufnej rozmowie z Leonem XIII unosił się zawsze jakiś duch nadprzyrodzoności, a O. Jacek powracał z Watykanu pełen nowej siły i namaszczenia.

Sympatia Leona XIII do O. Cormier była tak wielką, że chciał go zrobić kardynałem. Dosyć głośną była nawet ta kandydatura i kilka dzienników otwarcie o niej pisało. Jedna z penitentek O. Jacka, osoba na wysokim stanowisku, spytała go raz wprost, czy byłby zadowolonym, gdyby go obrano kardynałem. Zaskoczony pytaniem, nie od razu odpowiedział, chwilę się zastanowił, a potem, zamiast zdawkowych pokornych słów, tak często słyszanych w podobnych okolicznościach, O. Cormier odpowiedział z prostotą: *„Widzisz, moje dziecko, gdyby mię obrano kardynałem,*

to by mi to nie przeszkodziło umrzeć". Wszystkim sprawom ziemskim potrafił nadać im właściwą wartość, taką, jaką mają mieć w obliczu śmierci.

Kardynałem jednak nie został, bo, jak się później dowiedziano, sprzeciwił się temu rząd francuski, który nie chciał mieć przedstawicielem swego Państwa — zakonnika.

Nieprzychylne nastawienie do religii katolickiej i do klasztorów, było we Francji coraz większe, aż wreszcie przyszło do otwartego prześladowania. Nie ominęło ono Zakonu Kaznodziejskiego w chwili, kiedy rozwój jego w tym kraju był największy. Klasztory zamknięte sprzedawano, niszczono lub oddawano do użytku świeckiego. Cała, tak droga sercu O. Jacka, prowincja Tuluska wygnana została ze swych domów i musiała szukać przytułku we Włoszech. Większość przygarnął klasztor w Quercia; tutaj też odbyła się w roku 1904 kapituła dla oboru nowego Generała. Mówiono coraz głośniej o kandydaturze O. Cormier. Ojciec św. Pius X bardzo pragnął widzieć go na czele zakonu. W rozmowie z nim wyraźnie zaznaczył, że *„gdyby na kapitule było coś dla niego, to trzeba będzie zgiąć głowę, robota musi pójść naprzód"*.

W wigilię Zielonych Świąt, 21 maja 1904 roku wybór padł na O. Cormier. Natychmiast po otrzymaniu tej radosnej nowiny, O. Desqueyrous, zastępca Prokuratora, udał się do Watykanu. Sam Pius X przyjął go jako posła dobrej nowiny, a czytając przyniesiony telegram, powiedział: *„Tak, tak, nowina naprawdę dobra... on taki święty! Jestem bardzo zadowolony. A wy?"*

Wiadomem było, że radość w zakonie była wielka, gdyż wszyscy cenili i kochali całym sercem tego cichego, mądrego, pokornego i tak dobrego, Ojca.

Kiedy po powrocie z kapituły nowy generał składał swój hołd Ojcu świętemu, w postawie jego, przygiętej ku ziemi starością i pracą, było tyle dostojeństwa i tyle nadprzyrodzonej mocy i ufności, że

gdy czytał adres, zdawało się, że to stoi Piotr apostoł przed Chrystusem i mówi z prostotą i ufnością bez granic: „*Na Twoje słowo — zapuszczę sieć!*“ I zapuścił niewód, a on się rwał od połowu, a hasłem nowego Generała i myślą przewodnią stały się, dostosowane do okoliczności, słowa ukochanego Papieża: „*Instaurare omnia in Dominico*“.

Myśl swoją rozwinął w cyrkularzu rozesłanym po wszystkich domach całego świata, we formie pasterskiego listu. Pisał w nim, że dążeniem jego będzie: „*uczynić zakon kwitnącym, zarówno domy, jak i dusze pojedyńczych jednostek i rozszerzać takiego ducha modlitwy, pokuty, pokory, posłuszeństwa, ubóstwa, zaparcia się siebie, miłości bliźniego i jedności wiary — jakim pałał nasz św. Patriarcha Dominik*“.

Ażeby swe szczytne pragnienia zamienić w czyn, zaczął zaraz po objęciu urzędowania, objeżdżać domy zakonne. Do wizytacji kanonicznych przywiązywał wielką wagę, i słusznie, bo tego rodzaju praca duszpasterska w zakonie nosiła na sobie zawsze piętno nadprzyrodzoności, a zarówno wizytator, jak i dusze, z którymi rozmawiał, wiedziały, że spełniają czyn nadzwyczaj miły Bogu, troszcząc się nie o co innego, jak o „żarliwość domu Bożego“. O. Jacek miał szczególniejszy dar trafiania do dusz; do każdej umiał tak przemówić, że się przed nim bez trudu otwierała, jak kwiat pod wpływem słońca. Każdy pytany czuł, że Ojciec pyta nie tylko z obowiązku lub przez próżną ciekawość, ale jedynie dla Chwały Bożej i dla dobra duszy, ażeby dodać jej sił, dopomóc w pracy nad sobą, wskazać drogę lub błędy i pobłogosławić, a jeżeli dusza była cierpiąca, to ułagodzić ból i uleczyć.

Do podniesienia gorliwości i ducha całego klasztoru służyły ogólne konferencje, które Generał wygłaszał na kapitule wobec wszystkich zakonników.

W ten sposób O. Cormier miał możność przekazywania swego gorliwego ducha innym, młodszym zna-

cznie od niego i zachęcanie ich do ukochania reguły i życia zakonnego.

Zdawało by się, że wyniszczone pracą całego życia i chorobą ciało, nie mogło już mieć dosyć sił, żeby sprostać zadaniu Generała. Bezwzględnie musimy tu mieć na uwadze działanie łaski, która sił Ojcu Jackowi dodawała. Ale i sam Ojciec starał się zachować żywotność, żeby wykonać to, co mu kazano. Wiedział, że nic tak nie chroni sił fizycznych przed ich upadkiem, jak regularne życie. Dlatego ułożył sobie, na wzór O. Jandel'a, dokładny plan dnia i ściśle się go pilnował. Nawet podczas rozjazdów i wizyt kanonicznych wsławał, modlił się, jadł, pracował i odpoczywał — wszystko w wyznaczonych na to godzinach. I może ta regularność życia sprawiła, że mimo bardzo podeszłego wieku, rąk nie opuścił i pracować nie przestał — aż po 12 latach najwyższego przełożeństwa — złożył urząd. Usiłował wprawdzie dwukrotnie prosić Ojca św. o zwolnienie go z urzędu, ale ta prośba była zawsze wywołana pokornym mniemaniem o sobie: O. Jacek, jak każdy dążący do zupełnej doskonałości — widział swe braki i niedostatki i sądził, że są one tak wielkie, że powinien zrzec się zaszczytnego urzędowania na korzyść kogoś bardziej odpowiedniego. Oba razy starania na niczym spełzły, Pius X nie chciał nawet słuchać o dymisji O. Jacka.

Z zewnętrznej działalności Generała, O. Cormier, wysuwa się na pierwszy plan troska o wyrobienie doskonałych Braci Kaznodziejów. Do tego potrzeba było dwóch rzeczy: rozszerzenia wiedzy naukowo-religijnej, oraz zaprowadzenie surowej obserwy zakonnej. Obu tym zadaniom chciał sprostać. Dla celu naukowego założył w Rzymie Instytut „Angelico", który wzbogacił Wieczne Miasto w jeden jeszcze uniwersytet. Tu mogli się kształcić Dominikanie wszelkich narodowości. Budowy zewnętrznej i urządzenia wewnętrznego doglądał sam Generał i często widywano go na budowie, rozmawiającego z robotnikami. Po

ukończeniu całego zakładu ułożył O. Jacek regulamin obowiązujący dla jego mieszkańców. Zdumieni byli starsi zakonnicy łagodnością żądanej obserwy, niektórzy się nawet oburzali na to, że mądry, a podług nich „słaby" Generał poznosił dla tego domu niektóre posty, zmniejszył ilość nocnego czuwania i godziny poprzeinaczał. Nie brak gorliwości zakonnej, ale kochające, a rozumne serce ojcowskie kazało mu tak uczynić, ponieważ od Braci, mieszkających w Angelico żądano dużego wysiłku umysłowego, a to, jak wiadomo, ze surową ascezą pogodzić się nie da.

Do przyuczenia zakonników zachowywania całej ostrości pierwotnej reguły miał służyć inny dom: klasztor w San Sabina. Tu nowicjusze mieli być wdrażani wyłącznie prawie w najdrobniejszą obserwę zakonną, co miało sprzyjać rozwinięciu gruntownego życia wewnętrznego. Zakorzenieni i utwierdzeni w ascezie, przywykli do umierania sobie i swej woli — mieli z kolei przechodzić dalsze szkolenie umysłowe w Rzymie, ażeby być idealnie, obustronnie, tzn. i duchowo i umysłowo przygotowanymi do pracy apostolskiej.

Niestety, wojna światowa uniemożliwiła urządzenie wzorowego życia w San Sabina i sędziwy Generał nie miał szczęścia oglądania tego i dokończenia w nim swego pracowitego życia.

Dwunasty rok rządów Generała dobiegał końca. 85-letni O. Cormier nie mógł już wizytować domów i tylko w obrębie Rzymu jeszcze pracował. Miał też stale przy sobie do pomocy brata konwersa, pielęgniarza, którego, w sprawach zdrowia, z rozkazu Papieża, pod posłuszeństwem musiał słuchać.

Z jaką radością spełniał pokorny Ojciec to posłuszeństwo, za którym całe życie tęsknił i którego zawsze pragnął. Niestety, nie długo się tym cieszył, brat Damian umarł wcześniej, niż sam chory, niedołężny już prawie, starzec.

I śmierć Ojca św., Piusa X, przeżył O. Jacek i bardzo ją odczuł. Ze świątobliwym Papieżem łą-

czyła go serdeczna, nadprzyrodzona przyjaźń; te dwie święte dusze tak doskonale się rozumiały! A ile razy korzystał Generał z rad Namiestnika Chrystusowego! Wszystkie ich spotkania, choć dla celów ziemskich, owiane były nimbem świętości. Po załatwieniu spraw koniecznych, zostawał O. Jacek nieraz dla rozmów czysto duchowych, zwierzając Piusowi X tajniki swego serca. Choć tak różni stanowiskiem, bliscy byli duszami i czuli się braćmi jednego, przez obu Ukochanego, Ojca.

Na kapitule, odbytej w sierpniu 1916 r. O. Jacek Cormier został złożony z urzędu Generała. Wreszcie mógł odpocząć, przestać rozkazywać, a oddać się wyłącznie modlitwie i kontemplacji Boga. W rzymskim klasztorze dominikańskim w St. Clément, należącym do prowincji irlandskiej, osiadł na stałe. Zaraz na wstępie do nowego życia ułożył sobie plan dnia, ażeby wola nie ustawała w pracy nad umieraniem siebie. W pracowitym dniu tego starca, rozpoczynającym się o godz. 4,5 rano, czas był na wszystko: na obowiązki kapłańskie, zakonne, na pracę wewnętrzną, pisarską i umysłową i nawet — na pracę duszpasterską. W miarę sił, zajmował się w tych ostatnich miesiącach swego życia kierownictwem dwóch zgromadzeń żeńskich w Rzymie: „Siostrzyczkami ubogich" i naszymi, polskimi Nazaretankami. Z prac literackich, ostatnią, którą napisał, był jakby testament, opracowany dla Braci i Sióstr zakonnych, mający w sobie tak dziwną siłę pociągającą, że każdy zakonnik, który to czytał, musiał myśleć jak on, czuć jak on i postępować jego śladami, chociażby to wymagało wielkiego zaparcia się siebie.

Najprawdopodobniej opisał O. Cormier w tej pracy, zatytułowanej *„Disceptatio"*, swe własne życie, wykazując jakim powinien być prawdziwy zakonnik-kaznodzieja. Były to ostatnie jego słowa przekazane Braciom zakonnym na tej ziemi: ciepłe jeszcze jego

własnym przeżyciem i doświadczone na sobie wielokrotnie.

Stawiając ideał Dominikanina, zaleca mu nade wszystko pokorę, pisząc na wstępie: *„Trzeba żeby wszystkie inne zewnętrzne dary zostały zlekceważone przez kaznodzieję, ażeby zrobić miejsce pokorze. Czyż nie jest on posłany, żeby nauczał ubogich? Jest więc koniecznym, ażeby praktykując pokorę, stał się małym — z małymi, prosty — z prostymi, nieoświecony — z nieoświeconymi, ażeby się stał uległy Bogu".*

Pokora jest jeszcze bardziej potrzebna temu, kto ozdobiony genialnymi darami wymowy, zdaje sobie sprawę, że pociąga tłum, że przekonywuje umysły, że wzrusza serca, że wyciska łzy żalu i skruchy i pobożności, że jego wymowa tak czasem porywa i zachwyca, że słuchacze z trudem wstrzymują się od oklasków.

Jakże taki kaznodzieja powinien mieć głęboko zakorzenioną pokorę, ażeby nie popełnić świętokradztwa, rozkoszując się własną chwałą, na skarbach niebieskich odwiecznej prawdy. Wreszcie, niech bohaterzy Boskiego słowa wypraszają sobie pokorę gorącą modlitwą, ażeby, za wstawiennictwem św. Dominika, otrzymać mogli wszelkie dary nieba, które by pokryły ich niedostateczność. Wtedy „obleczeni mocą z wysokości", która da im dar słowa, otrzymywać będą dobro rozpoczęte i, co się rzadziej zdarza, sprawią jego pomnożenie".

Dnia 17 grudnia 1916 r. zakończył cicho w celi zakonnej życie O. Cormier, a śmierć jego stała się wielką, bo z pewnością rozpoczął z jej chwilą najszczęśliwsze życie wieczne w niebie.

IV

Dwa są właściwie sposoby dążenia do doskonałości: jeden — dla wszystkich obowiązujący: *„chowaj przykazania"*; drugi — doskonalszy, prowadzący do świętości: *„sprzedaj wszystko co masz i pójdź za*

mną". Ale i ten ostatni ma różne stopnie i formy. O. Cormier lubił mawiać, że *„życie świętych, to piąta Ewangelia; znajdujemy tam cudowną rozmaitość form, przy najgłębszej jedności"*.

W swoim życiu duszy sięgnął O. Jacek do największych głębin — oddał wszystko Panu swemu. Zaraz na wstępie życia duchowego „sprzedał" swą wolę, poddając się dobrowolnie posłuszeństwu spowiednika. Potem zaparł się świata i szatana, składając śluby ubóstwa i posłuszeństwa. Po raz rozpoczętej drodze szedł dalej — wstąpił do zakonu, ażeby w woli przełożonych widzieć zawsze wolę Bożą i ją tylko spełniać przez całe życie.

Posłuszeństwo doprowadzone do doskonałości — stało się cechą najbardziej charakterystyczną tego wyjątkowego zakonnika. Pod tym względem naśladował najwierniej Boskiego Mistrza — bo był posłusznym aż do śmierci.

Żeby jednak umieć tak słuchać — tak się zawsze i we wszystkim zapierać, trzeba mieć wolę wyrobioną i serce gorejące miłością. Tylko prawdziwa miłość prowadzi do ofiary.

O. Cormier ją posiadał w wysokim stopniu. Bóg mu ją dał — jak tylu, tylu ludziom. Ale nie wszyscy słyszą ten głos Boży — i nie wszyscy idą za nim.

Bóg zasiewa, Bóg daje pomnożenie — ale człowiek sam musi podlewać ziarno cudowne, ażeby wyrosło.

O. Jacek dbał pilnie o wzrost zasiewu — podlewał modlitwą szczerą, ciągłą. Przez czas pobytu w seminarium duchownym, a potem przez długi nowicjat — aż do ślubów wieczystych — jedynym prawie jego zajęciem było poznawanie Boga i Jego doskonałości, prawd, przykazań, — czy to przez rozmyślania, czy czytania Pisma św. i czy też pracę naukową.

Pracy nad poznaniem Boga, towarzyszyła praca nad sobą: głębokie, prawdziwe życie wewnętrzne.

Najważniejszym przedmiotem wysiłku — było wyniszczenie siebie, porzucenie wszystkiego — co nie jest

Bogiem. Najprostszy — ale najtrudniejszy sposób dążenia do świętości. Tak tylko rozumiał O. Cormier życie wewnętrzne, gdyż sam mówił: *„Życie wewnętrzne nie polega na uczuciu, ale na wyjściu ze siebie, ażeby zrobić miejsce Duchowi Bożemu w nas i dalej, na postępowaniu według tego Ducha z odwagą, ufnością i słodyczą"*.

Zdanie to było dyrektywą jego życia. Widzieliśmy z jaką „odwagą" patrzył O. Jacek na piętrzące się przed nim trudności. Nie załamał się, choć mu O. Lacordaire odmówił przyjęcia do zakonu; nie uległ namowom rozpaczającej matki, ażeby wystąpił z nowicjatu dla ratowania życia; trwał mężnie przez dwa lata w niepewności, zanim mu pozwolono złożyć śluby wieczyste.

A miał tę siłę, bo w ciągłej modlitwie poznawał coraz lepiej miłość Bożą i mógł zaufać temu Najlepszemu Ojcu.

Ufność doskonała nie polega na nadziei, w ziemskim pojęciu, tj. że Bóg ziści nasze najgorętsze pragnienia, ale na pierwiastku nadprzyrodzonym, który każe ufać, że to co się stanie z nami, jest jedynie najlepsze, zapewniające nam prawdziwe szczęście. O taką ufność starał się O. Jacek podczas ciężkich miesięcy niepewności — i Bóg mu ją dał w darze za wytrwałość.

Że ją posiadł, tego dowodem była niezwykła słodycz jego usposobienia. Ta nadprzyrodzona dobroć, łagodność i pokój, które cechowały go, były darem nieba, wysłużonym przez zupełną ofiarę.

Całe późniejsze bogactwo swej apostolskiej duszy zawdzięczał O. Cormier temu życiu z wiary, które poprzedziło profesję.

Natura ludzka nie da się wyniszczyć z dnia na dzień, trzeba długo i wytrwale pracować nad nią.

Z notatek O. Jacka, z postanowień rekolekcyjnych, z listów do spowiedników widzimy, jak systematycznie nad sobą pracował, aż wyrobił w sobie to „mil-

czenie wewnętrzne", które go od posłuszeństwa aż do śmierci zaprowadziło.

Milczały w nim ludzkie pragnienia, myśli i sądy; milczały zmysły doskonale ujarzmione umartwieniem ciągłym; milczało serce ludzkie — które dla Boga tylko biło, a w Nim i dla Niego kochało ludzkość całą; milczał — gdy go krytykowano lub gdy darzono uznaniem i pochwałą; milczał — gdy go przenoszono z miejsca na miejsce, jak przedmiot bez woli. Milczał o swym życiu, o swych bólach i pracach, o troskach i radościach, wreszcie i o łaskach nadzwyczajnych, które Bóg najmiłosierniejszy zlewał na wiernego sługę.

Tym milczeniem kupił sobie skarb największy: doskonałą miłość Bożą, życie w stanie łaski, gotowość na śmierć dla Boga. O zaletach miłości tak pisze:

„Miłość musi być prawdziwą, bo opartą na zasadach wiary; prostą — ażeby szła prosto do Jezusa, nie zajmując się po drodze żadnymi stworzeniami, chyba że Bóg tego sam zażąda; silną — ażeby umiała trwać wśród poświęceń, cieszyć się z uwag, z lekceważenia i z upokorzeń; skupiona — tj. cała zamknięta w myślach o obowiązkach i pamiętająca wśród pracy na obecność Bożą, bez ciekawości, bez lekceważenia; patrząca — a nie widząca; szukająca w rzeczach zewnętrznych tylko tego, co chwałę może Bogu przynieść".

Taką idealną ze wszech miar miłość rozpalił O. Jacek we własnym sercu i taką pragnął widzieć u innych, ażeby Bóg był należycie wielbiony i chwalony.

A kiedy piękna dusza O. Jacka przez jego współpracę z łaską przygotowana została do pracy, usłyszał przez usta przełożonych rozkaz św. Dominika: *„Idź i nauczaj"*.

Więc poszedł, nie patrząc na to, na jakim stanowisku go postawią.

Maryja Niepokalana czuwała nad nim i sprawiła, że jak wierny jej syn, wypowiedział swoje „fiat“ i poszedł służyć zakonowi, a przez niego Bogu — na najszczytniejszych stanowiskach.

Prawdziwa pokora — nie usuwa się od zaszczytów — bo ich nie widzi w ogóle. Stanowisko najwyższe nawet nie jest samo w sobie zaszczytem, ono tylko wymaga więcej pracy i ofiary od tego, który je zajmuje. Dopiero praca doskonała na stanowisku może przynieść uznanie i chwałę.

Uznania ludzkiego — O. Jacek nie szukał — dosyć mu było, żeby mu sumienie nic nie wyrzucało i żeby mógł pod wieczór dnia złożyć trud całodzienny u stóp Jezusowych ze spokojem, że niczego Bogu nie odmówił.

Chwały — O. Cormier szukał, ale chwały Bożej i o nią się starał zawsze.

Bardzo charakterystycznym było, że we wszelkich rozmowach z ludźmi wplatał jakąś myśl nadprzyrodzoną, czy to we formie uwagi, czy pouczenia o Bogu, ażeby „wszystko“ uświęcić.

Apostolska praca, do której O. Cormier był szczególnie powołany musiała się składać z apostolstwa przykładu i słowa. Do obu był dostatecznie przygotowany. Nie było bodaj za jego życia wzorowszego zakonnika, spełniającego nie z musu, ale z umiłowania, wszelkie przepisy reguły. Nie prosił nigdy o ulgę lub dyspenzę, i przeciwnie, kiedy mu dla słabego zdrowia nakazywano szanowanie sił, obfitsze jedzenie lub większy fizyczny odpoczynek, to uważał to za prawdziwie ciężki krzyż.

Do kaznodziejstwa był doskonale przygotowany, bo oprócz długich studiów teologicznych, miał dar wyzyskiwania wszelkich wolniejszych chwil, dla pogłębiania swej wiedzy teologicznej.

Darem słowa obdarzył go Bóg i sprawił, że umiał w cudowny sposób łączyć swe osobiste życie wewnętrzne z zewnętrznym nauczaniem i pracą. Powiedzieć by

się najlepiej o nim dało, że „z obfitości serca — usta mówią".

„Kaznodzieja to ten, kto daje duszom nadmiar swojej kontemplacji. A więc, nieustannie się modląc, nie opuszcza Boga jak tylko wtedy, kiedy idzie do tych, do których go Bóg posyła. Ale i wtedy idzie do nich z umysłem oświeconym darami nadprzyrodzonymi, ze światłem prawd przemyślanych, ze sercem przepełnionym tą miłością, którą czerpał w nadprzyrodzonym źródle. Jeżeli jest inaczej, to słowa jego będą pustym brzmieniem, bez ciepła: może one nawet i wzruszą, ale poprawić nie zdołają".

Takie wysokie pojęcie o zadaniach kaznodziei miał O. Jacek; ale byłoby całkiem fałszywym, gdybyśmy, znając jego zamiłowanie do modlitwy i obcowania miłosnego z Bogiem, sądzili, że życie jego składało się z dwóch części: życia modlitwy i życia apostolskiego. Całkiem przeciwnie: umiał on cudownie pogodzić pracę z modlitwą. W głębi jego duszy było jedno istnienie — poświęcone całe i wyłącznie Bogu; On w nim mieszkał, On rządził, On dyktował słowa, natchnienia dawał i pociągał.

W najrozmaitszy sposób spełniał O. Cormier swój urząd kaznodziei: pouczał braci jako magister i przeor, podnosił, kształtował i rozpalał dusze zakonne przy wizytacjach kanonicznych, głosił kazania dla swoich i świeckich, pisał nieustannie listy, nauki, życiorysy i inne, większe prace ascetyczne, wreszcie spowiadał i kierował zgromadzeniami zakonnymi.

Nigdy nikomu pomocy duchowej nie odmówił, a przychodząc na zawołanie okazywał taką uprzejmość i serce, że potrzebujący jego rady odnosił wrażenie, że ojciec ma dużo wolnego czasu i bardzo się jego sprawą interesuje.

Ta uprzedzająca dobroć i łagodność pociągała ku niemu dusze, przede wszystkim zakonne, dlatego cieszył się takim uznaniem i miłością.

Urząd przełożonego uważał za bardzo ważny i zdawał sobie doskonale sprawę z obowiązków na nim ciążących.

Kiedy go obrano Generałem uważał, że bardziej niż kiedy bądź dotąd, jest obowiązanym do pouczania przykładem i do tego, żeby był we wszelkiej cnocie — pierwszym. I nikt, zdaje się, lepiej od niego nie potrafił by zrealizować tego ideału przełożonego, który w obszernym traktacie dla braci swych opisał.

„Bóg ubogaca przełożonego nieskończoną miłością ku swoim podwładnym; dlatego, że on jest dla nich zastępcą Pana Boga. Jezus Chrystus, chcąc ustanowić św. Piotra głową widzialną Kościoła, zaczął od trzykrotnego pytania go o miłość. A uczynił to dlatego, ażeby go nauczyć, a przez niego nas wszystkich, że to jest cechą najważniejszą urzędu rozkazywania. Miłość musi być czuła, dobroczynna, powszechna...“

Taką była miłość O. Jacka, a *„kapłan, ożywiony duchem wiary i miłości, jest siłą dla wielkich i małych: jest objawieniem boskości, potwierdzeniem prawdy, odparciem przesądów, porywem serc ku cnocie. On sam jest równocześnie programem i jego wykonaniem“.*

Takie zdanie skreślił O. Cormier w jednym z licznych żywotów wybitnych ludzi. Nie myślał, pisząc je, z pewnością o sobie, ale trudno lepiej określić osobowość tego wybitnego kapłana i zakonnika, niż w tym właśnie zdaniu.

Opinia świętości — która za nim idzie — nie wystarcza, O. Cormier musi znaleźć naśladowców, szczególnie w swoim Zakonie, który tak kochał, dla którego pracował i życie swe ziemskie oddał, a teraz, bez wątpienia, wraz ze swym Opiekunem św. Dominikiem, modli się za rozkwit i świętość Zakonu.

E. Estreicherowa

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

LA DOTTORA DEL PURGATORIO

W r. 1737 papież Klemens XII wpisał błogosławioną Katarzynę Genueńską w poczet Świętych. Toteż w ubiegłym roku, od kwietnia do października, Genua obchodziła 200-letnią pamiątkę kanonizacji tej, którą gród Krzysztofa Kolumba nazywa *Genuensis Reipublicae Protectrix*. Wspaniałe te uroczystości odbiły się echem w wszechświatowej prasie katolickiej. Stwierdzamy też z radością, że nasza Polska nie omieszkała przyczynić się do tych ogólnych hołdów: bowiem znane zaszczytnie Koło studiów katolickich w Warszawie wydało na ten jubileusz polski przekład słynnego „Traktatu o Czyśćcu" św. Katarzyny Genueńskiej, dokonany z oryginału włoskiego przez S. Leonię, Niepokalankę. Tłumaczenie jest bardzo dobre, wydanie staranne i estetyczne. Możnaby tylko zrobić pewne zastrzeżenie co do doboru ślicznych w sobie winietek Wiktorii J. Goryńskiej, zdobiących tę książeczkę: drzeworyty te bowiem uderzają brakiem związku z tekstem; podkreślamy jednak z uznaniem, że są artystycznie wykonane.

Żałować również przychodzi, że dziełko to nie ma żadnego wstępu, żadnych danych o świętej Autorce, bądź co bądź mało znanej w Polsce: 1447-1510, daty jej narodzenia i śmierci, oto jedyna wskazówka, po-

dana pod imieniem św. Katarzyny na karcie tytułowej[1]).

Caterina Fieschi Adorno — jak ją nazywają ziomkowie — była patrycjuszką genueńską z XV wieku. Ród Fieschich, starożytny i możny, dał Kościołowi dwóch papieży, kilku kardynałów, wielu patriarchów, biskupów i opatów. Ojciec Świętej był wicekrólem Neapolu; matka, z domu de'Nigri, należała również do pierwszych rodzin Rzeczpospolitej Genueńskiej. Dzieweczka od 13 roku rwała się do życia zakonnego; lecz po śmierci ojca rodzina wydała ją za mąż wbrew jej woli za Juliana Adorno, potomka możnego rodu powaśnionego z Fieschami, od czasu walk Guelfów i Gibelinów, — chcąc w ten sposób przypieczętować zgodę rodzinną. Julian był piękny, młody, bogaty, ale gracz i hulaka; po kilku tygodniach małżeńskiego pożycia zniechęcił się do 16-to letniej żony, zbyt poważnej i skupionej i zaczął ją coraz bardziej zaniedbywać. „Catarinetta", jak ją pieszczotliwie nazywano w rodzinie, zapłakiwała się, siedząc nieraz późno w noc na balkonie swego pałacu i oczekując daremnie powrotu małżonka; dziś jeszcze pokazują w Genui ten balkon, zachowany przy kościele oo. Filipinów, choć reszta pałacu Adornów dawno została zburzoną. Przez wiele, wiele lat modliła się i pokutowała za grzechy niewiernego męża, aż wreszcie doczekała się jego nawrócenia: Julian Adorno, zmarnowawszy młodość i zdrowie, nadszarpnąwszy mocno magnacką swą fortunę, zamieszkał wraz z żoną przy szpitalu miejskim, którego ona została kierowniczką i oboje oddali się dobrym uczynkom. Katarzyna, jak anioł poświęcenia, roztaczała w koło siebie woń heroicznych cnót. Opowiadają o niej, że nieraz leczyła cho-

---

1) Dowiadujemy się, że tłumaczka zamierza wydać w najbliższym czasie rys żywotu Świętej, który ma uzupełnić te braki.

rych samym swym dotknięciem, że raz pocałunkiem uzdrowiła trędowatą niewiastę. Doprowadziwszy męża do błogosławionego końca, umarła w 63 roku życia; całe miasto przywdziało po niej żałobę. Pochowano ją w kościele szpitalnym dell'Annunziata; ciało jej, po dziś dzień nietknięte, przechowane jest w kryształowej trumnie. Podczas jesiennych uroczystości genueńskich przeniesiono je w uroczystej procesji do katedry San Lorenzo, gdzie przed półtysiącem lat była ochrzczona; tam przez 3 dni św. relikwie wystawione były ku czci publicznej. Wszystkie ulice były udekorowane kobiercami, chorągwiami i kwiatami, oraz herbami Fieschich i Adornów. Kardynał Minoretti, arcybiskup Genui, przewodniczył uroczystym nabożeństwom, otoczony licznym gronem biskupów przybyłych ze wszystkich stron kraju. Lud genueński, z iście włoską żywością, aklamował frenetycznie „swoją Świętą", czując w niej, jak niegdyś, możną orędowniczkę u tronu Bożego i miłującą „Matkę Ojczyzny".

Tytułem tej Świętej, raczej lokalnej, do wszechświatowej sławy jest nie tyle jej „Dialog między duszą a ciałem", w którym odsłania nam swe wnętrzne przejścia, jak raczej jej *„Trattato del Purgatorio"*, dziś udostępniony polskiemu czytelnikowi. Z takim mistrzostwem opisała ona to tajemnicze miejsce oczyszczenia dusz zeszłych z tego świata w łasce Bożej, ale niedość jeszcze czystych, by wejść wprost do nieba, że św. Robert Bellarmin, jeden z najwybitniejszych teologów XVI wieku i sam Doktor Kościoła, nazwał św. Katarzynę Genueńską *la Dottora del Purgatorio.* Nie ma w tej książeczce nic, coby przemawiało do wyobraźni, jak np. u św. Brygidy Szwedzkiej (nie mówiąc już o „Czyśćcu" Dantego, bo to poezja). Dogmat ten, nie będąc bliżej określony, zostawia w szczegółach wiele swobody; teologowie rozmaicie go komentują. Najlepiej zatem trzymać się wskazówki św. Tomasza, którego odnośne słowa służą za motto do „Traktatu":

„W tych rzeczach, które w Czyśćcu nie zostały określone przez Kościół, należy opierać się na tym, co jest najbardziej zgodne z nauką i objawieniami Świętych"[2]).

Gdyby Anioł Szkoły mógł znać Traktat św. Katarzyny, napisany we dwa wieki po jego zgonie, byłby się bez wątpienia zgodził na to, co mówi o Czyśćcu Caterina Fieschi Adorno, „la Dottora del Purgatorio".

---

2) St. Thomas, in 4 Sent. dist. 21, quaest. I, art. 1.

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

M. S. GILLET Z. K., *Kształtowanie charakteru.* Tłum. J. Suchodolska. Księg. św. Wojciecha.

Dziewiętnastoletni biedny terminator, uczęszczający do wieczornej 7-mio klasowej szkoły powszechnej w Warszawie, po przeczytaniu tej książki, powiedział: „Gdyby mi siostra dała 50 zł, mniejszą by mi przysługę zrobiła, niż pożyczeniem tej książki". — Fakt sam za siebie mówi — nasuwa się tylko pytanie, w czym leży siła tej książki i jej wartość pedagogiczna? Sądzę, że nie pomylę się, gdy wskażę, że źródło wpływu tej książki leży w wielkiej znajomości młodej duszy u czcigodnego autora, oraz w arcyludzkim podejściu do zagadnienia, z tym zastrzeżeniem, że bierze się człowieka jako osobowość o wolnej woli, świadomego swej boskiej misji. Z tego założenia wychodząc, O. Gillet czuka w naturze i jej przejawach sprzymierzeńca pracy nad udoskonaleniem i stawia tę podstawową zasadę: „Każdy kto chce być chrześcijaninem i na to by nim mógł być, wpierw musi zostać człowiekiem z charakterem" (str. 155).

Z tomistyczną logiką rozwija to zagadnienie w kilkunastu rozdziałach, z których każdy dla siebie jest zamkniętą całością bogatą w rady i wskazania.

Spośród wszystkich metod kształtujących wolę, autor oddaje pierwszeństwo metodzie ideałów, ale, żeby nie zmieniła się ona w jałowe marzycielstwo,

chce, by idea-światło zmieniła się w ideę-siłę. Stąd omawia rolę inteligencji i woli.

Uczymy się, jak ma wola stawać do namiętności, których wartość zależy od kierunku, jaki im nadamy. Zwycięstwo człowieka na tym odcinku zawisło od tego, w jakiej mierze zdoła skojarzyć ideał chrześcijanina z namiętnościami. Wola jest tym czynnikiem, który stara się usilnie o „zestrojenie klawiatury namiętności z klawiaturą uczuć wolicjonalnych" (62).

Ale do tego trzeba opanowania pierwszych przejawów rodzącej się namiętności.

Z kolei odsłania się przed nami psychologia i taktyka tworzenia nawyków i znakomite na str. 125 odróżnienie ich od cnót. (Pod tym względem w dzisiejszych systemach jest bałamuctwo).

O. Gillet wielką wagę przywiązuje do skupienia i umiejętności samokontroli, oraz do długomyślności, która pozwala okrężną drogą dojść do Boga, skoro nie stać jednostki na skok śmiały w nieskończoność.

Książka oddać może wielką usługę tak w duszpasterstwie jak w wychowaniu, nie zapominajmy bowiem, że pisał ją długoletni pedagog i profesor, oddany całą duszą młodzieży, — autor licznych książek z dziedziny pedagogii katolickiej.

Książka O. Gillet'a wypełnia bardzo poważną lukę w dorobku pedagogicznym ostatniej doby. — Wykazuje potęgę wolnej woli, prymat ducha w przeciwieństwie do licznych książek apoteozujących instynkty i uczucia.

Dziełko niniejsze nie wyczerpuje całego zagadnienia, jest niejako wstępem do rozprawy „La virilité chrétienne", gdzie autor wykazuje, jak do pierwiastka ludzkiego w pracy nad charakterem trzeba wciągać pierwiastek boski. — Tu tylko krótko i pobieżnie zaznaczył stosunek łaski do pracy duchowej.

Oby jak najprędzej to cenne dzieło doczekało się polskiego tłumaczenia.

S. Barbara Żulińska C. R.

KS. JAN POPLATEK T. J., *Błogosławiony Andrzej Bobola Towarzystwa Jezusowego.* Życie — męczeństwo — kult. Kraków 1936. Str. 331.

Podziwiany, czczony i kochany Bohater cnoty i chwalebny Męczennik bł. Andrzej Bobola nie miał życiorysu, któryby był godny wielkiego „Duszochwata", ponieważ wszystkie liczne (w liczbie 33) poprzednie grzeszyły brakiem krytycyzmu. Nie opierając się w szczegółach na koniecznym materiale źródłowym, powtarzały zwykle te same błędy. Dopiero w r. 1936 oo. Jezuici wydali tę przepiękną biografię, której autorem jest O. Poplatek. Biograf jako zawodowy historyk sięgnął do źródeł i z olbrzymim nakładem pracy przeorał nieuprawione dotąd ugory. Może są jeszcze niezużytkowane materiały (np. znajdujące się w Bibliotece Uniw. J. Piłsudskiego), ale to, co posiada zasadnicze znaczenie, zostały uwzględnione w należyty sposób. Czcig. Autor przystępując do przedstawienia żywotu bł. Męczennika kreśli dzieje rodu Bobolów. Obszerne, ściśle fachowe uzasadnienie nowej tezy, dotyczącej śląskiego pochodzenia tej szlachetnej rodziny, Autor odkłada na koniec książki, gdzie również znajdujemy tablicę genealogiczną rodu Bobolów h. Leliwa. Zadaniem znawcy-historyka będzie ustalenie, ile cennego materiału wniósł Autor w te dotychczas niedostatecznie oświetlone dzieje rodu, który miał szczęście wydać bł. Andrzeja. Na szeroko odmalowanym tle dziejowym z ciągle rosnącym zainteresowaniem zaznajamia się czytelnik z młodością, studiami młodzieńca i pracą zakonnika, by wreszcie dojść do tragicznego momentu męczeństwa tego, który — wedle słów Papieża Piusa XI — jest „największym Męczennikiem Kościoła katolickiego". Wreszcie widzimy Apostoła Pińskiego w chwale Sług Bożych.

Odnosi się niekiedy wrażenie, że Autor może za krótko zbył dzieje kultu bł. Męczennika w Połocku, dotąd bowiem żyją w pamięci tamecznych mieszkańców (o-

becnie rozproszonych w różnych stronach Polski) łaski nadzwyczajne wyświadczone im przez Błogosławionego. Nas czytelników „Szkoły Chrystusowej" zaciekawia szczególnie passus 3 rozdz. VII, poświęcony sylwetce duchowej bł. Andrzeja. Autor w myśl słynnej zasady „gratia supponit naturam" odmalował właściwości naturalne Świętego oraz przedstawił triumf łaski zdziałany na tym niezbyt urodzajnym przyrodzonym ugorze duszy, która miała w sobie wszystkie dodatnie i ujemne cechy natury polskiej. Choć Ks. Poplatek przy innych okolicznościach potrącał o charakter Świętego, to żałujemy, że w poprzednich okresach życia bł. Boboli nie zaznaczał obszerniej ustawicznych zwycięstw dokonanych przez łaskę, że nie przedstawił jego „spinaczki" na stromy szczyt doskonałości. Zawodowi historycy zwykle jednak mało są czuli pod tym względem. Może i szczupłość źródeł stanęła na przeszkodzie. W każdym bądź razie uważamy, że z okazji zbliżającej się kanonizacji, a zatem konieczności zapoznania katolików całego świata z postacią Świętego, należało by ten życiorys przetłumaczyć na bardziej rozpowszechniony język zachodnio europejski.

W. Eborowicz

Ks. Dr Z. BARANOWSKI, *Zagadki życia* — rozmowy etyczne, str. 314, wydawn. Księg. św. Wojciecha.

SZCZEPAN JELEŃSKI, *Światła tajemnic* — rozmowy dogmatyczne, str. 292 + VII, wydawn. Księg. św. Wojciecha w Poznaniu.

Stanowisko katolika wobec wielu zagadnień i problemów życia bardzo często wydaje się być niejasne i nieproste. Gorzej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o uzasadnienie tego stanowiska a najgorzej bodaj, gdy mamy przekonać ludzi krańcowo nam przeciwnych poglądów. Wtedy to najbardziej daje się odczuć —

mówiąc krótko — brak katolickiego spojrzenia na palące problemy życia.

Ostatnio przychodzi nam tu z dobrą pomocą książka ks. Baranowskiego — „Zagadki życia". Książka wprawdzie nie na koturnach filozoficznych, lecz — mimo to — lepsza, bo książka życia. Porusza prostą refleksją moc zagadnień z istnieniem człowieka związanych i stara się je w sposób równie prosty a przekonywujący wyjaśnić.

Jakież to zagadnienia? Wielka ich i pełna kontrastów ilość. Wspomnijmy tylko niektóre. A więc np. rozdział „Wolna myśl i wolne obyczaje" a w nim o swobodzie obyczajów, odstępstwie od wiary, wiedzy religijnej, stałości i ewolucji zasad moralnych. Dalej rozdział traktujący o wychowaniu bezreligijnym, klerykaliźmie i Kościele widzialnym.

W następnym, o formie i treści w życiu religijnym (o dewocjonaliach, formułach modlitewnych, pobożności prawdziwej i fałszywej, czci świętych i o treści życia religijnego).

Rozdział inny — o radosnej ascezie i poświęceniu się życiu klasztornemu, doskonałej radości życia, sztuce, współczesnej kulturze, kosmopolityźmie, socjaliźmie i Kościele a sprawiedliwości społecznej.

Wreszcie estetyka cnoty i grzechy; kult ciała i kultura ciała; dalej znów małżeństwo, jego powikłania i przeszkody, miłość — jej piękno i obowiązki itd. Słowem, takie bogactwo przeróżnych zagadnień, jak bogate i obszerne jest życie.

Ładny język, lekkość stylu i treść wartościowa, każą wybaczyć nieco rażący nas ton moralizatorski i uznać, że książka jest dobra, życiowo przydatna i bardzo pożyteczna.

***

Znajomość zasadniczych prawd wiary katolickiej wśród naszej inteligencji świeckiej była zawsze niezwykle mizerna. Niewątpliwie na przeszkodzie stawał

tu brak odpowiednich prac filozoficzno-religijnych. Istniejące zaś nieliczne w ogóle, a w języku polskim szczególnie dzieła, pisane przeważnie przez nieświeckich i noszące przez to pewien specyficzny charakter, — nie trafiały najczęściej zupełnie i bezpośrednio swym sposobem podejścia do czytelnika.

Wyłom w tej sytuacji, wyłom niewątpliwie korzystny, uczynił Szczepan Jeleński swą książką — „Światła tajemnic". Podtytuł wyjaśnia częściowo jej charakter: rozmowy dogmatyczne. W formie dyskusji grona ludzi kilku zawodów, na tle przepięknego krajobrazu Tatr, w czasie górskiej wycieczki — roztrząsa autor podstawowe dogmaty nauki katolickiej.

Tajemnica stworzenia, zła, przeznaczenia, łaski, Wcielenia, Eucharystii i zbawienia — zostają mądrze, jasno i wszechstronnie oświetlone.

Książkę mądrą, głęboką i przez swój barwny język żywą, książkę — co ważne — świeckiego dla świeckich, powitać trzeba z najżywszym zadowoleniem.

Stef. Choiński

Superiorum permissu. De licentia Ordinarii.

Redaktor: *O. Bernard Przybylski O. P.*